BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

KAMENA

LUBLIN
CHEŁM
ROK VII

NR 2-3

czas. 2552/7/2-3

ROK VII **KAMENA** NR 2–3 (62–63)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

GRUDZIEŃ 1945 – STYCZEŃ 1946 R.

TREŚĆ NUMERU DRUGIEGO – TRZECIEGO

	Cztery rocznice	str.	33
GRZEGORZ TIMOFIEJEW	Do synka list z obozu	„	34
JAN HUSZCZA	Elegia	„	34
ROMAN SADOWSKI	Tobie	„	35
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Górnik i pani	„	35
CZESŁAW JANCZARSKI	Warszawa	„	36
JAN BOLESŁAW OŻÓG	Do ostatniej krowy	„	37
KAZ. ANDRZEJ JAWORSKI	Wariacje na słowa Norwida	„	38
KAZIMIERZ WYKA	O Józefie Czechowiczu	„	38
JERZY LAU	Żal	„	49
ANNA KAMIEŃSKA	Pierwsza kula	„	50
JULIA HARTWIG	Przed poematem	„	50
	Las	„	51
TADEUSZ RÓŻEWICZ	Ścigany	„	51
TADEUSZ GAJCY	Wyzwanie	„	51
ROMAN BRATNY	Powrót	„	52
ZBIGNIEW STOLAREK	Mona Liza o czwartej po raz pierwszy	„	53
JACEK BOCHEŃSKI	Dalej	„	53
KAZ. ANDRZEJ JAWORSKI	I znowu Tatry	„	54
STEFAN GRASS	Biała noc	„	57
	Przekłady z poezji francuskiej	„	59
	Przekłady z poezji rosyjskiej	„	61
	O rzeczach nie dostrzegalnych	„	67
	Kronika słowiańska	„	69
	Noty	„	70

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub., Reformacka 43.
Przyjmuje w poniedziałki od 17 do 18-ej.

Wydawnictwo: Zespół „Kameny".

Sekretarz Redakcji: Lublin, al. Curie-Skłodowskiej 2, pok. 34.

Prenumeratę przyjmuje Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik".
Deleg. Lublin, ul. 3 Maja 4.

Redakcja i Sekretariat w lipcu i sierpniu nieczynne.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 20 zł.

K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

Rok VII Grudzień 1945 — Styczeń 1946 r. Nr 2-3 (62-63)

W KOŃCU R. 1945 UPŁYNĘŁO

90 lat od śmierci

ADAMA MICKIEWICZA

100 lat od narodzin

BOLESŁAWA PRUSA

20 lat od śmierci

STEFANA ŻEROMSKIEGO

20 lat od śmierci

WŁADYSŁAWA REYMONTA

KTÓRZY WZNIEŚLI SŁOWO POLSKIE NA WYŻYNY NAJWIĘKSZEGO ARTYZMU

KTÓRZY UCZYLI KOCHAĆ OJCZYZNĘ I CZŁOWIEKA

KTÓRZY WIECZNIE ŻYJĄ W SWYCH DZIEŁACH

DO SYNKA LIST Z OBOZU

Jeślibym mógł do Ciebie pisać
piękno i czar biorąc za style,
możebym kreślił mgłą na ciszach
i zamiast kropek kładł motyle.

Możebym prawdy Ci oszczędził,
abyś przed czasem się nie wzdrygnął,
że miast snuć bajki i gawędy
dzieciństwo truję Ci maligną.

Jeślibym mógł do Ciebie pisać...
Lecz dłoń z obozu wyciągnięta
na elektrycznych drutach zwisa
i groźnie woła w świat: pamiętaj!

Tę dłoń w konwulsji oszalałej
na stosie trupów i dnie nocy
jak sztandar śmierci oglądałem —
tę dłoń i nie zamknięte oczy,

które już gasły a patrzały
daleko pełne takiej siły,
że rwały w proch kamienne skały
i szły do kraju i budziły.

Gdy ludzie trwożnie śpią w ojczyźnie
nurzając włosy w sennym dymie,
krwawym księżycem staną w izbie
te oczy straszne i olbrzymie.

Podejdą blisko tak do łoża,
że dziecko zacznie płakać we śnie
i kiedy przestrach będzie gorzał —
krzyknie sieroco i boleśnie.

Tak samo syn mój niespokojnie
pod księżycowym rosnąc sierpem
przedwcześnie ciemną grozę pojmie
i skąd ja siwe włosy czerpię.

Z przygotowanej do druku książki pt. „Kamieniołom" pisanej w obozie koncentracyjnym Guzen w latach 1943—45.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

ELEGIA X

Sosny powtórzą się w sosnach
Na miejscu spalonych sady nowe wyrosną
Wojny się skończą i skończą podróże
Lecz ręce ustaną, serce się znuży

Ni rąk ni serca nam nikt nie powtórzy

JAN HUSZCZA

K 36/40/18

TOBIE

to co niosłeś wspomnieniem to gorycz
to co niosłeś z przeszłości to głód
to co niosłeś do walki z uporem
to bunt serca i bruku bunt

wrzesień pachniał kwiatami nie twymi
i nie twoim księżycem mdlał
to co niosłeś na stos który dymił
było treścią kanałów dna

szumiał wrzesień łopotem sztandarów
i łomotem lecących słońc
a ty niosłeś pośród krwi oparu
zaciśniętą na kolbie dłoń

rozpoznały oczy niewidzące
przywołały nieznanego w grom
a ty niosłeś w gardziele cuchnące
swego serca swój bezdomny dom

w pysk im wystrzel szyderstwem i wzgardą
gdy cię chcieli na cokół wznieść
bo ty szedłeś nie za ich kokardą
ale pięścią rozbić inną pięść:

zaciśniętą na twoim mieście
zaciśniętą na twoich snach
choć to były tęsknoty bez wieści
i kanałów tylko mroczne dna

ROMAN SADOWSKI

GÓRNIK I PANI

Górnicyśmy, o pani. W sztolniach człowieczeństwa,
w otchłaniach tajemnicy, pokładach języka
trud się dzieje: co słowo, to triumf lub klęska,
a myślałaś, że łatwo formę napotykam?

Forma nasza jest trudem wyboru, doboru;
dręczy niedosiężeniem, zabija przypadkiem.
Wola nasza (decyzja i czyn), piękna połów,
to kilof i cios mądry w surowca niestatki.

Tam gdzie żyjesz, nożykiem deserowym skórkę
zdejmująca z pomarańcz lub krająca hałwę,
nie słychać tego huku, co *nam* ognie żółte
spod ciosów wyłamuje, a śród ogni prawdę.

Myślisz, że mały nożyk i powszednie ruchy,
że smak tamtych zdobyczy przenika w kopalnię?
że, jak się torty siecze, tak i niezmiar głuchy
wszechbytu byle słówkiem w niewolę zagarniesz?

Rzuć nożyk, a nawyczek nie pamiętaj, nie czcij,
kiedy się czarno-biały, ciekący ichorem
wynurza kształt i, ciemni odbiegając wiecznej,
istnieć zaczyna sobą, świecić nad cokołem.

Nie tobą; właśnie sobą istnieje, a ludzi
tym posila, że dziki, otarty o Boga,
że fryzowanych życiem — do wieczności budzi,
że z nim — każdy jest posąg, a bez niego — woda.

TADEUSZ BOCHEŃSKI (Zakopane)

WARSZAWA

Łopotały na wietrze sztandary,
szły orkiestry pułkowe szpalerami wiwatów i chmur
grając marsze — widok to był naprawdę potężny.
Gdy poeci pisali wiersze o męstwie i wojennej sławie,
gdy rzucano kwiaty pod nogi żołnierzowi,
nie o wojnie myślano — o zabawie,
w której trzeba zwyciężyć!

A dni wtedy były jak lustra przejrzyste,
noce jak kopce złotych mrowisk.

Uderzyły w niebo dzwony łun, zaturkotały na szosach wozy,
popłynęły smugi samochodów, padła na ludzi trwoga:
rzucając domy w pośpiechu zapomnieli nawet
o modlitwach u rozstajnych krzyży.
Ach, dnie pełne lęku dla miast i wsi, gdy zza lasu
przylatywały samoloty, hucząc jak szerszenie złe.
Orkiestry pułkowe umilkły, już tylko werbel i niżej
we wrzosowiskach tylko klarnet wiatru o zachodzie
przewija się jak smutku dym melodii smugą
tak delikatną, że lada turkot ją płoszy i rwie.
Gra o śmierci niemowląt, o rozpaczy matki
szukającej szczeniąt wśród nocy rozlanej jak rdza,
gra o rozproszonych żołnierzach, co szukając pułków,
wsłuchani w skrzyp osi wozów
myślą o ciepłym śnie jak o ojczyźnie.
Potem gra o miasteczkach, z których kominy
sterczą jak wierzb tragiczny szpaler wśród obłoków sinych,
i o wspólnym dole, gdzie przy polnej stacji
gniade konie leżą i kanonierzy, a z nimi pani cudnej postaci.

Wzdłuż taśm karabinów maszynowych mija kalendarz
wrześniowych dni,
wzdłuż torów w lesie, gdzie stoją wystygłe kominy lokomotyw,
konie, ludzie, armaty — orły dniem i nocą płyną
tam, skąd już nie ma powrotu.

Wtedy ostatnia eskadra srebrnym śmigłem rozcięła niebo
jak sierpem
i za widnokrąg daleki odniosła swą zdobycz: krwawy mapy strzęp.
Jeszcze tylko ty się bronisz Warszawo, jeszcze nad tobą
drapieżne stado płynie:
Święty Jan runął w łuskach tynku, krzyż Zygmunta tragicznie schylony
trwa nad żołnierzem, co ma oczy przewiązane czerwonych łun chustą.
Jeszcze tylko Ty się bronisz, bohaterska Stolico, gdy w rudym pyle cegieł
pluszczą na Wiśle zgubione nuty piosenki o rozmarynie —
dalekie ustom.

Dnia 27, słonecznego miesiąca, bić Twoje serce przestało
żołnierzu z Powiśla, Mokotowa i Pragi trzymający palec
na cynglu wiekuistej ciszy, gruzem przywalony jak raną.
A nam, tułającym się wśród obcych wiatrów i zórz,
gdy pożar szerzy się dalej,
nam, Warszawo, niech będzie danem zbudować Cię szklaną.

My, bracia pogorzelcy, po ścieżkach rozproszeni,
smagani wiatrem chłosty niesłusznej, gdy tęsknotę widnokręgów
zakratowała obca dłoń w małe więzienne okienko,
żeby przetrwać pory roku nieubłagane,
o Tobie śnimy Warszawo szklana — piosenko...

CZESŁAW JANCZARSKI

DO OSTATNIEJ KROWY

Hej, na pożegnanie tej obory,
która w ciężki nas żywiła czas,
mroźnym, żółtym zimowym wieczorem
skargą zabrzmiał twój żałosny bas.

Nocą w okolczykowane ucho
długo piała konająca wieś,
na zbójeckim niemieckim łańcuchu,
kiedy prowadzili cię na rzeź.

Żegnaj, żegnaj w szalu białych dymów,
niby wicher — zadumany wróż.
Krąg sadyby i my porzucimy,
głowy tuląc do nóg starych brzóz.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

WARIACJE NA SŁOWA NORWIDA

Kto kocha, widzieć chce choć cień postaci,
bez której chwila każda wartość traci;
kto kocha, małe temu ogromnieje
i włos w pierścionku rośnie mu w nadzieję,
w knieję zapachów, których dech go mroczy;
kto kocha, patrzeć chce oczyma w oczy,
by w nich sondować miłowania głębię,
a z dala listów śle białe gołębie,
akty strzeliste swoich nienasyceń,
takty wieczyste serca wtajemniczeń;
kto kocha, widzieć chce choć cień obrazu,
choć rad by całość żywą mieć od razu,
bo miłość strachu nie zna i jest śmiała,
cieniem się syci, ale pragnie ciała;
lecz ciało samo też jej nie wystarczy,
chce herb swej pani wypisać na tarczy
i śladem błędnym smutnego hidalga
olbrzymów zwalczać lub po gęstych algach
tropić Kolumba zdobywcze fregaty,
brać w posiadanie nieodkryte światy;
bo miłość strachu nie zna i jest śmiała,
ciałem się syci, ale to jej mało,
jedni pożąda, ale w ducha sferze,
w komet zamieci, w gwiezdnej atmosferze,
tapczan rozkoszy nazbyt dla niej ciasny
i wszechświat cały to jej dom jest własny.

1944 *(„Zawsze to samo")*

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

O JÓZEFIE CZECHOWICZU

(Dokończenie)

Czechowicz napisał o wierszach przedwcześnie zmarłego Mikiewicza, że „z nie byle jakiego źródła powstały: z fantazjotwórstwa. A staje się prawdą coraz szerzej uznaną, że jedyną godną artysty sztuką jest ta, która tworzy, nie ta, która kopiuje i rejestruje... Bo wiem poezja wyobraźni to sen na jawie. Błogosławiony, kto umie łowić sny i obdarowywać nimi bliźnich". („Poezja Konstantego Mikiewicza", Pion 1937, Nr 40).

Określając Mikiewicza ujmował Czechowicz, jak to często u poetów bywa, siebie samego. Liryka jego jest istotnie fantazjotwórcza, poczęta z wyobraźni w jej pierwotnym i ścisłym sensie, jako władzy specyficznego wyboru obrazów. Tak specyficznego i na takie odległości kojarzonego wyboru, że zdaje się być władzą całkowicie samodzielną i nadrealną. Ten fantazjotwórczy i wizyjny charakter poezji Czechowicza jest konsekwencją stwierdzonych już właściwości jego sztuki: wiejskość i prowincjonalność daje w swoim wyniku skłonność ku balladzie i baśni, a to są typowe

objawy fantazjotwórstwa. Muzyczna samodzielność obrazów, ich nieoczekiwane następstwo utwierdza te związki.

To wrażenie fantazjotwórczej wizyjności wzmacnia również pewna uboczna, nie wydaje mi się by szczególnie ważna cecha jego poezji, jednakże cecha, która nie może być pominięta, skoro o niezwykłości mowa. Jest nią skłonność do egzotycznego i bogatego zdobnictwa (znów Miciński!), pojawiająca się w utworach całkiem różnych tematycznie:

i świecisz torsem przejrzystym oczu jeziorem
a bursztynowymi stopami w mozaikę zenitu bijesz
i szumisz konchami muszlami
w zielonawym złocie konstelacyj nad modrym nocą borem

(„w kolorowej nocy")

Myślę, że ta barwna i słowna egzotyka Czechowicza jest pochodną jego wyobraźni bardzo wizualnej, pochodną, gdzie stłumiona została muzyka, a wydobyta obrazowość. Gdzie indziej staje się ona pochodnią jego muzyczności, doprowadzając ją do egzotyki czysto dźwiękowej, ale także mającej swoje podobieństwa u Micińskiego:

wprowadzam królów szeregi
mają szaty zorzanozłote
ja nad falą ładogi oniegi
złote szaty fałduję młotem

(„moje zaduszki")

Wizyjność i fantazjotwórstwo prowadzą jednak najczęściej do hipertrofii obrazów. Zwłaszcza wówczas, kiedy wizja słabnie, pojawia się wysypka i świerzbiączka obrazów. Od wizyjności do gadulstwa droga krótsza, aniżeli na przykład od precyzji do oschłości. Czechowicz jako poeta fantazjotwórczy w ten grzech nie popadł nigdy, na palcach policzysz wiersze, które wydają się przeciągnięte. Wizja Czechowicza jest niezwykłego charakteru, albowiem posiada lapidarność. Lapidarność jest częstym zjawiskiem u poetów-intelektualistów; nie należał do nich Czechowicz i tym bardziej zadziwia obecność tej właściwości. **Lapidarny wizjoner** — oto formuła rzadko przez poetów osiągana, a całkiem przylegająca do liryki Czechowicza. Swój wewnętrzny klasycyzm muzyczności i wizualności najczęściej osiągał Czechowicz tam, gdzie udawało mu się go zawrzeć w formie najzwięźlejszej. W tajemniczy sposób warunkują się u niego cechy bynajmniej nie sąsiadujące z sobą:

noc to koło
w ciszy niebieskiej wełnie
wilno kościelne
śpi białe jak gołąb

(„prowincja noc")

monotonnie koń głowę unosi
grzywa spływa raz po raz rytmem
koło koła
zioła
terkocze senne półżycie
drożyną leśną łąkową
dołem dołem
polem

(„przez kresy")

Po raz drugi musimy przypomnieć Norwida. Po raz drugi liryka Czechowicza styka się z Norwidem w sposób daleki od przejmowania i naśladownictwa. Norwid był największym u nas mistrzem lapidarności — jednak nie oschłej, nie zawsze tylko epigramatycznej i intelektualnej. To przecie Norwid dał to skończone arcydzieło zwięzłości i wzruszenia: „O wsi biała w atłasie kwiatów jabłoni I w zwierciadłach księżyca, Jako oblubienica na ustroni..." Twórczą kontynuację tej zwięzłości stłumionego wzruszenia, nie powiadam, że dorównaną w wyolbrzymieniu poetyckim, lecz samodzielną i osiągniętą z własnych dyspozycji artystycznych widzę u Czechowicza, u niego tylko i w niektórych rzutach z „gałęzi kwitnącej" Staffa.

Lecz lapidarność, jakkolwiek by była poczęta z ducha muzyki, daje efekt artystyczny podobny rzeźbiarskiemu. Każda poezja, nawet o frazie rozwiniętej i rozbudowanej, posiada jakiś niewzruszalny i absolutny kształt — nie ujmiesz, nie dodasz. W wierszu lapidarnym niemożność odjęcia najdrobniejszego rysu wychodzi na samą powierzchnię, działa sobą. Jest w nim coś kruchego jak dźwięk i coś skończonego jak rzeźba. Zastygnięcie nad przepaścią nieujętego. Dlatego obrazy Czechowicza, ledwo wyrwane z nienazwanej ciemności, a już mające nieodwołalny wygląd, zdają się być jak rzeźby wyłowione na chwilę z muzycznego mroku. Łaska, iż trwają.

Lapidarność Czechowicza ma konsekwencje i cechy jeszcze dalsze, te które wprowadzają w jego najwyższe osiągnięcia liryczne. Zwięzłość tego typu, jaki podaliśmy w przykładach miała charakter statyczny i opisowy. Osiąga ją Czechowicz w widzeniu krajobrazu, w ujęciu miasta jako tworu żywego. Tą absolutną zwięzłością tak nowy ton nadaje ziemi polskiej widzianej przez pieśń. Poezji ziemi, poezji krajobrazu, pór roku jest u nas dużo i to dobrej. Pamiętamy antologię Lorentowicza. Lecz sentyment opisu wyrażał się u nas najczęściej wielosłowiem lirycznym. Dopiero w Młodej Polsce — Tetmajer, Miciński, Ostrowska — umiano dać precyzję lirycznemu wzruszeniu. Jednakże była to precyzja uczucia, Czechowicz daje dopiero precyzję ostateczną obrazu. Kiedy ktoś „Ziemi polskiej w pieśni" doda jej kontynuację przez dwudziestolecie międzywojenne, jestem pewien, i podkreślano to wielokrotnie, Czechowiczowi w tej kontynuacji przypadnie miejsce najbardziej oryginalne.

Lecz i tu zachodzą u niego pewne dosyć wyraźne związki z Młodą Polską. Czechowicz jako zjawisko bliższy jest tamtej generacji, aniżeli pokoleniu „Skamandra. Myślę głównie, oprócz tylekroć już wspominanego Micińskiego, o Wyspiańskim. O tej muzyce ziemi

i miasta, jaką daje muzyka dzwonów z „Akropolis", podobnie wydobywana z rytmicznej niejaśni, podobnie sugestywna i na swój sposób zwięzła. Wyspiański był twórcą wysoko umieszczanym przez Czechowicza. Jemu to złożył drugi obok Norwida hołd swojej wizyjności — „Iliada tętni". Któż drugi tak zwięźle ujrzał i poddał postać i spojrzenie Wyspiańskiego:

zamknięte niebo źrenic
dłonie bezwładne bezradne jak dzieci w grubej ciemności
nieskończoność to szklistej jesieni
czy jesień gorąca nieskończoność

Omawiana statyczna lapidarność jest lapidarnością wąskiego koryta, jednego tylko prądu. Takim postępowaniem zostają wprawdzie usunięte niebezpieczeństwa przerostu opisu, którego waga humanistyczna rzadko kiedy pomnaża się przez powtarzanie, a sama wartość zostaje ograniczona do tego, co jej przynależy; cóż począć, nawet najbardziej wytężona w uczuciu poezja krajobrazu, ziemi jest rzeczą wąską wobec spraw ludzkich, wobec dzieł kultury i moralności. Jest wąska i nie poddanie się jej bezwolne — mam je za złe Piętakowi — wiedzie do prawdziwej wartości, lecz wybór. Zwięzłość jest wyborem. Zdolność wyboru świadczy o panowaniu nad rudą życia.

Czechowicza cechuje przeto również **lapidarność szerokiego koryta,** ta, do jakiej prowokuje temat prawdziwie humanistyczny, rozległy i wieloznaczny kulturalnie. Nie powiadam, jakoby sprawom humanistycznym nie odpowiadała zupełnie pierwsza, zwarta lapidarność. By ją osiągać, trzeba ku temu osobowości intelektualnej. Rodzi się wówczas epigramat, skłonność do aforyzmu. Taką organizacją był Norwid i takie przeto wyniki dawała w jego poezji humanistycznej zwięzłość intelektualna. Czechowicz mimo stałej kontroli wyboru artystycznego nie jest podobną organizacją duchową. Dlatego temat humanistyczny wywołuje u niego specyficzną lapidarność: jest ona zwięzła, **zwarta wobec bogactwa potrąconych, napomkniętych znaczeń i aluzji,** ale w samej konstrukcji jest budowlą szeroką, wielokierunkową. Lapidarność od strony utajonych znaczeń, wieloznaczne bogactwo aluzyj od strony otrzymywanej przez czytelnika.

Weźmy pierwszą strofę „Piłsudskiego":

śnieżne konie śnieżyca po świętym marcinie
zamieć dom tratowała a dom mocny wytrwał
dawny czas w zegarach szafach skrzyniach
litwa litwa

Jesteśmy i nie jesteśmy po stronie lapidarności. Trwa to znamienne dla Czechowicza wynurzanie się z nienazwanej ciemni, trwa zwięzłość w obliczu nienazwanego. Zachodzą na siebie, przenikają się muzycznie i echowo obrazy, ale konstrukcja ma wiele znaczeń. W sensie humanistycznym jest bardzo przestrzenna. Tę przestrzenność humanistyczną przy zwięzłym nazywaniu, to bogactwo utajeń i ujawnień zarazem napotykamy zawsze na szczytach liryki Czechowicza, w takich utworach jak np. „Piłsudski", „Dom świętego Kazimierza", „Nienazwane niejasne", „Polacy", „Co spływa ku nam".

Takim utworem jest przede wszystkim „Dom świętego Kazimierza". Całkowicie wypada się zgodzić z Ludwikiem Frydem, kiedy ten pisze, iż w jego „migawkowych wizjach urasta widomie i plastycznie cała wielkość duchowa genialnego samotnika paryskiego. Prawdziwie od „Fortepianu Szopena" nie było w poezji polskiej równie pięknego i porywającego utworu na cześć wielkiego artysty i jego trudu". („Odmiany poezji czystej"). Pion 1939, Nr 6).

Tak piórem Czechowicza dotrzymany został przez lirykę niepodległą ten ton kultu dla wielkich, jaki dał Norwid, ton oddany został naszym słowem — w aluzyjnej, uwypuklającej, muzycznej lapidarności —

spokojnie miękko świeci chwila bez godziny
ostrzą się na kamieniu zórz lotki jaskółkom
bramo przytułku okna przytułku
tej nocy łuski sekwany zabrzękną
norwid
brzęk wszerz niemieckiej krainy
do wisły doleci
a tam struny w fortepianach pękną

Czechowicz jest poetą lapidarnym także i w innym znaczeniu. Lapidarną jest cała jego twórczość. Za jakieś piętnaście lat działalności poetyckiej sześć tomów własnych, jeden wspólny, tak, ale razem około 130 utworów. Wiadomo było od poety nadto, że drukuje ledwo połowę tego, co napiszę a w procesie obróbki technicznej wiersza najważniejsze u niego jest skracanie. Że skracanie utworów wychodziło im na dobre i w formie zwięźlejszej dawało większą konkretność, większą mimo odrzucania akcesoriów realnych i zwężania tła, łatwo to sprawdzić na pierwodrukach, w czasopismach. Np.: „Wieczór zimowy", a jego pierwszy kształt „Mrok i światło" („Kamena", 1933, Nr 4). W tej zaś tak nielicznej twórczości utworów naprawdę górujących, które pozostaną na zawsze w naszej liryce jeszcze mniej, może ze dwadzieścia, może nie tyle nawet.

Jest coś smętnego, a jednak zdumiewającego siłą przywiązań w trudzie lat kilkunastu, którego wynik tak wygląda wątły i zdawałoby się nieważki. Siła przywiązań. Garść prochu, garść słów uładzonych, o niewiadomym trwaniu. Któż je poręczy, któż zważy niestatek następców, niestatek śmierci? Wśród chaosu powichrzeń wielkich, wśród epoki obojętnej na piękno, zadyszanej ku zagładzie. „Trzeba mieć, tak za tak, nie za nie, trzeba wierzyć w porządek nadrzędności i podrzędności zdarzeń i spraw — oto niebo. Odwrócenie tego jest sięganiem po płomień piekielny". („Truchanowski i towarzysze", Pion, 1938, Nr 40).

Czas dojrzałości i przywództwa poetyckiego przypadł Czechowiczowi na lata, kiedy można było zwątpić we wszelki porządek. Czechowicz poznał to wielkie zwątpienie. Poznał i usiłował przezwalczyć. Wiernością przywiązań, wiernością wysiłku fantazjotwórczego, po prostu wiernością poezji jako misji. Tu jest niezawiniona wina jego poezji, tu źródło wielu potknięć własnych, tu wreszcie zasada wpływu na młodych, który łudził wskazaniem drogi słusznej.

Czechowicz nie był bynajmniej organizacją czysto artystowską. Nic fałszywego i bardziej wymijającego jego istotą, jak sąd, że był estetą tylko. Żmudność wkładanego wysiłku, stałe i wysokie napięcie formalne, popularność jedynie wśród wąskiego koła poetów i miłośników poezji, bardzo mała znajomość jego liryki w szerszych kołach, mała nawet pośród czytelników interesujących się literaturą, mogłyby łudzić, że oto poeta-cyzelator, poeta skreślarz i dłubacz estetyzujący. Nic podobnego. Cyzelator to ten, kto właściwie wierzy w absolutny kanon formalny, który osiągnie — chodzi jedynie o uchwycenie, jakim gestem tego dokonać, chodzi o znalezienie tego gestu, chwytu, poprawki ostatniej. Dla Czechowicza, chociaż jego kresem staje się zwięzłość, osiągnięcie absolutne nie istnieje. Wzór raz zdobyty nie staje się sztancą cyzelatorską. Czechowicz był w istocie **organizacją moralną w poezji.** Oznacza to dwie konsekwencje, tak u niego widoczne: najpierw, u korzeni poezji, wstydliwa, nieznosząca obnaszania się, przebłyskująca najrzadziej postawa moralna. Wyżej, i to już śmiało, moralność obowiązku wobec piękna, moralność imperatywu artystycznego. Ta konsekwencja druga staje się u Czechowicza dyrektywą świadomą, głoszoną i propagowaną, ale znów dlatego, że tylko w ten sposób uciszone zostaje sumienie prostej, gruntującej postawy moralnej.

Ten fundament moralny, to niespisany w tezy — my też nie będziemy go wyławiać w związkach konsekwentnych — światopogląd Czechowicza. Wbrew wszystkiemu, co było modne twierdzić w latach formalistycznych, wiem, że w każdej poezji prawdziwej mieści się moralno-filozoficzna wizja świata. Ta wizja myślowo-uczuciowa Czechowicza jest pesymistyczna. Tam, gdzie spod splątań obrazów drgają jawnie „drobinki krystaliczne, gwiazdce śniegowej podobne", jak zwał je Czechowicz, te drobinki, które są już wprost osadem osobowości, resztą życia drgają, żywi je jakiś denny, zasadniczy pesymizm. Nie pesymizm zawodów, przejść własnych, ani pesymizm społeczny, lecz pewna nieodjęta barwa bytu. Ta postawa w sposób stanowczy wyodrębnia Czechowicza spośród całej awangardy i skamandrytów. Nie tylko jego jednego, ale jego jako jednego z pierwszych obok Sebyły, później Miłosza.

Szczególnie w awangardziej barwa rzeczywistości była optymistyczna, ufna w siłę i samodzielność działania ludzkiego. Aż do zabawnej zaiste wiary w technikę i maszynę, jako twory zdolne działać niezależnie od wartości ludzkich, ten nadwiślański pogłos naiwnego amerykanizmu. Tamta poezja rozprzestrzenia się pochwalnie ku światu, ku dziełom zbiorowym i technicznym człowieka. Aprobuje postawę czynną człowieka cywilizacji mechanicznej. Widzi w niej wartość wyjściową, wartość fundamentu i wartość końcową, wartość celu. Poezja Czechowicza jest skoncentrowana, ku sobie nachylona. Aż do niebezpieczeństw egocentryzmu, to prawda. Lecz jest skupiona, nie rozprasza się pośród cywilizacyjnych pozorów. Bywa przeto pasywna. „Uczynki nic, jeno suchy komentarz do myśli i uczuć". („Jasne miecze"). Nie napisze tego żaden aktywista, ani awangardowy, ani czysto biologiczny. Nie oceniam w tej chwili, tylko charakteryzuję.

Nic bardziej znamiennego, jak jakiś typowy temat tej wiary technicznej i optymizmu cywilizacyjnego w ujęciu Czechowicza. Na przykład „Dno" — dno łodzi podwodnej, gdzie miast chwalby i samodzielności ponowne wtopienie człowieka w żywioły, złamanie kruchej przegrody techniki przez świat przyrody, egzotyczny i straszliwy, który całe dzieła kultury ludzkiej miał już tak zniweczyć —

ciężka ekstaza cichnie w iskier trzasku
widać chaos kształtów na dnie rozpostartych
atlantyda jest niżej
czarnoczerwona jak karty
a jak port pełna blasków

Ten pesymizm prześwieca jednak i kusi poprzez nienaganne piękno. Nie śmie nigdy podnieść głosu. Najzupełniejsze przeciwieństwo Łobodowskiego. Ta odmiana pesymizmu każe myśleć o pewnym istotnym pokrewieństwie moralnym z jedynym poetą, tu, w dnie osobowości bliskim Czechowiczowi, poetą innego obozu. Iwaszkiewicz. I nie jest bez przyczyny, że wpływy ich obydwu na najmłodszych przypadają na ten sam czas. Tylko poetyka, „tylko" naturalnie jako rzecz mniej ważna ze stanowiska postawy moralno-filozoficznej, tylko poetyka różni wyraz tego pesymizmu. Lecz i ona ileż razy maleje—

Przyjdź, o śmierci, siostro spania,
Przyjdź i zabierz mnie już stąd,
Łódki mojej bieg się słania,
Wywiedź ją na pewny prąd.

(„Lato 1932", XL)

Pesymizm Czechowicza posiada zabarwienie agnostyczne. „Że pod kwiatami nie ma dna to wiemy wiemy..." Ta niepoznawalność świata łączy się z jego poetyką, z poczuciem nienazwanych ciemności, które ledwo strzępami wyławia i utrwala słowo. Ślady religijności istnieją u niego, jak istnieć muszą w każdej odmianie pesymizmu, lecz ślady niechętnie powoływane ku świadczeniu, — „którego wzywam tak rzadko Panie bolesny skryty w firmamentu konchach—". W wyrazie tej agnostycznej pełni pesymizmu Czechowicz osiąga nutę u jednego tylko Miłosza bardziej przejmującą.

Tym ten wyraz jest dotkliwszy, że w nieoczekiwany sposób pochodzi wprost od rodzimej wiejskości poety. Sielanki zamknięte zdławionym zgrzytem goryczy, ballady wywiedzione w niejasność poznawczą, oto dziwność Czechowicza. Całkiem frapująca mogłaby tutaj być inteligentna interpretacja marksistowska. Oto poeta dogłębnie i wprost biologicznie związany z ziemią kraju rolniczego, nie uczestniczącego jako sprawca, uczestniczącego tylko jako świadek niezdolny do decydującego wpływu, w dramatycznym procesie łamania się świata cywilizacji przemysłowej i kapitalistycznej, w procesie wśród współczesnych budzącym odczucia pesymizmu, katastroficzności i niepewności bytowej, ten poeta samą budową utworu daje świadectwo tym dwojakim źródłom pesymizmu w jego kraju. Od sielanki, jeszcze istniejącej w ziemi przez niego umiłowanej, wprost

do metafizyki społecznej. Zaznaczam ją. My powróćmy do Lenartowicza i Micińskiego. Gdyby wśród nutek Lenartowicza padały okruchy lucyferyczne i groźne Micińskiego... Padały. Pisał Czechowicz: Jego „sen sielski" wiary i bytu jest ten —

chodziła Maria Panna między gwiazdami
chłodziła Maria Panna dusz cierpiących upalenie
a ja w gromie stoję północy się boję
poco wam przebywać ze śpiącymi i ze snami
nie męczcie odfruńcie dokąd chcecie
kruki wilcy niedźwiedziowie jelenie
amen
— — — — — — — — —
oczyść nas ktokolwiek jesteś wszędzie
odfruńcie od nas dzieła ludzkie i zwierzęce
poto klęczymy leżąc na słomie jak martwi
od niezliczonych lat

Tkwiły przeto w osobowości Czechowicza podstawy zrozumienia dla pesymizmu nadciągających po roku 1930 roczników poetyckich. Ta zbieżność jego organizacji moralnej z potrzebami młodszych i z utajoną, niegodną wartością tego czasu nadała mu gdzieś około 1935 roku patronat artystyczny nad młodą poezją. Lata przyczajonego szaleństwa, zbrodniczych błędów i nieświadomych spisków przeciw najprymitywniejszym podstawom kultury, którym dzisiaj płacimy ponury haracz, jakżeż miała wobec nich stanąć młoda poezja? Rozwiązanie i wzór przypadły Czechowiczowi. Dokonać go pragnął moralną wiernością imperatywowi artystycznemu, dokonać pragnął wyniesieniem wizji nad rzeczywistość. Bo komuż, gdzie w bieżącej rzeczywistości społecznej i historycznej miała być dana wierność moralna, a z nią chwała piękna? Może duchowi Monachium? Może duchowi Ozonu? Może upiorom ONR-u? Może kapitalizmowi i cłom ochronnym i pensjom dyrektorskim? Rozumiemy, pamiętamy te niewypowiedziane nigdy głośno przesłanki buntu poezji, żyje wiele z tych kulis i nie wszystkie padną w zawierusze obecnej.

Czechowicz i pojął i realizował swoje zadanie tak:

„Gdy ucisk tego, co popularnie nazywamy „nie—ja" parł w wiekach średnich na człowieka z potworną mocą, duch jego dźwigał się do wyżyn niebywałych i z fantazjotwórstwa powstały katedry, witraże, kompozycje muzyczne i poematy wspanialsze niż kiedykolwiek. Dzisiejszy napór barbarzyństwa życia gromadnego stwarza podobne warunki... gdy w boju łamie się duch ludzki, przemawia przez nas jego wielki głos i słyszymy, czegośmy nie słyszeli, widzimy, czegośmy nie widzieli". („Poezja Konstantego Mikiewicza").

— „Zbieg okoliczności, zestawiający w czasie ową walkę o czystość sztuki z okresem powszechnego upadku sumienia w najprostszym chrześcijańskim sensie tego słowa, stwarza sytuację tragiczną: albo jedna walka, albo druga. Dla artysty nie ma drogi pośredniej, bo pośrednia to tyle samo co poślednia. Więc dając prymat sprawom sumienia, sprzeniewierzamy się sztuce, a właśnie jest czas, kiedy można

wywalczyć jej autonomiczne prawa; dając siebie samego sztuce czystej, obniża się ją o całe sumienie".

Oto kłębowisko sprzeczności i tragicznych nieporozumień. Szaleńcza współczesność nie jest godna chwały piękna i poezja odwraca się od niej. Potąd zgoda. Lecz każde rozejście takie może być tylko tymczasowe. Chociaż w jakiejś dobie nieuniknione, nie może się stawać zasadą. Tymczasem wokół Czechowicza wytworzono z tego zasadę, więcej — styl. Sprawcą był Fryde, podkładem teoretycznym swoboda kreacjonistyczna, organem „Pióro". Nie twierdzę, jakoby w tamtej, doraźnej chwili przedwojennej stanowisko poezji mogło być inne, jakobym umiał nazwać i wskazać działającą wówczas warstwę, skuteczny typ społecznego pojmowania świata, za którym miała pójść poezja. Twierdzę jedynie, że **nie wolno było z rozwiązania tymczasowego, odpowiedniego wedle splątanej tragicznie koniunktury czynić prawdy stałej i kanonu powstawania stylu.** Żaden styl prawdziwy tak nie powstał. Przykłady z średniowiecza są całkowicie błędne. Tym, który palił na stosie heretyka i pławił czarownicę i tym, co wznosił katedry i kuł tysiące posągów, rządził ten sam ideał rzeczywistości. Nie było rozszczepienia, **postawy wbrew.**

Tymczasem z tragicznej koniunktury Czechowicz pragnął uczynić prawo. Zapłacił za to mnóstwem niekonsekwencji i załamań wewnętrznych jego ostatniej twórczości. Przede wszystkim, i to jest rysa najgłówniejsza, uchylił się od wniosków moralnych swojej postawy. Zadanie swoje i młodszych przeniósł w moralność imperatywu poetyckiego, jakby w nim samym nie istniał imperatyw inny, istotniejszy: tło jego pesymizmu, jego osobowości moralnej. Spróbował ujednolicenia przez styl fantazjotwórczy. Niestety, to, co u Czechowicza było surowym wysiłkiem, tak szybko u jego naśladowców okazało się planszą, namiastką, mechaniczną odbitką, jak u żadnego bodaj z głównych przodowników dwudziestolecia. Powiecie, że nikt nie odpowiada za błędy naśladowców. Niekoniecznie. Odpowiada, kiedy buduje kanon artystyczny ze swojej specyficznej wizji, ze stosunku tej wizji do rzeczywistości i kiedy ten kanon natychmiast okazuje się zawodny, rodzi mechaniczne powtórki. Tak stało się wokół Czechowicza. Nazwisk nie będę wymieniał. Stało się za jego sprawą, jego świadomym działaniem.

Poezja posiada prawo buntu przeciw bezpośredniej rzeczywistości i ileż jej dzieł najwspanialszych powstało z tego buntu. Lecz musi dać legitymację swoją. Tę, która jedynie uprawnia do odpowiedzi, czy bunt był legalny, wewnętrznie uprawniony, czyli też w imię sprzeciwu dokonało się nieobowiązujące marginesowanie. Tą legitymacją jest jej wielkość artystyczna, ona jedynie daje prawo. Inaczej postawa sprzeczności, znaczona przez Czechowicza, postawa konfliktu sumienia i piękna, nie doznaje oczyszczenia moralnego — bo pewna miara piękna staje się takim oczyszczeniem. Dnem tych wszystkich zdań płynie myśl o Norwidzie. Liryka Czechowicza nie należy jednak do poezji tak wielkiej, by jej odejście wyłącznie w wierność artystyczną przynosiło katharsis i rozgrzeszenie. Jej tragiczny niedosyt jest pomiędzy stwierdzaną przez poetę koniecznością ułagodzenia sumienia moralnego przez sumienie sztuki, a tymi kształtami ułago-

dzenia w pięknie, jakie sam Czechowicz jest w stanie dać. Wyższą jest aspiracja historyczno-moralna tej poezji od jej odpowiedzi, mogących przynieść spokój i pewność sztuki. Szczególnie dotkliwie daje się ten niedosyt odczuwać, kiedy Czechowicz często miast oczyszczającego buntu podaje egocentryczne marginesowanie swej wyobraźni.

Wyprawa w fantazjotwórstwo po nowy styl natrafiła po kilku krokach na mur nie do przebycia. Kierunek bowiem został odczytany błędnie. Tu było uchylenie się od wniosków moralnych własnego stanowiska. Rozwiązaniem był mianowicie nie styl artystyczny, nie styl jako nakaz podobnej formy, lecz **styl osobowości, styl personalistyczny.** Czechowicz radził ucieczkę w radość fantazjotwórczą, lecz sam, ze swojej osobowości przedartystycznej, ludzkiej, dawał odpowiedź personalistyczną: odpowiedź pesymizmu, coraz dogłębniejszego, pesymizmu idącego w bolesne przeczucia — jednakże w tej **odpowiedzi nie dojrzał zapowiedzi.**

Zapowiedzi, zaśpiewu takiego stylu, gdzie waży pogłównie osobowość, gdzie podobieństwo moralne osobowości więcej wiąże, aniżeli podobieństwo artystyczne. A tak już było pośród najzdolniejszych, najwięcej mających do powiedzenia poetów, drugiego dziesięciolecia — Miłosz, Zagórski, Gałczyński, Flukowski, Rymkiewicz, Piętak. Próba ujednolicenia ich pod jeden styl formy, albo do niczego nie prowadziła, bo pokrewieństwa okazywały się za ciasne, albo, co gorzej, wiodła do kapliczkowatego grymasu nad poetami niesfornymi stylowo. To była działalność Frydego. Tymczasem sama już postać i poezja Czechowicza była zapowiedzią takiego szerokiego humanistycznie pojmowania stylu. Styl Czechowicza niepowtarzalny, związany najściślej i najwidoczniej z jego osobowością, uczestniczyć mógł jedynie w wspólnocie z osobowościami podobnie widzącymi rzeczywistość, podobnie reagującymi moralnie. Prawo do stylu, który wynika z postawy moralnej. Style indywidualne jako krytyka, spór imanentny różnych wizji. Bez takiej formuły nie będzie żywotności podobnych wizji jak Czechowicza.

Wiele z takiego oddziaływania i takiego wzorowania Czechowicz niestety przekreślił. Lecz jego błąd był niezawiniony. Tu wyznanie osobiste. Myliło się nas wielu. Kiedy w poezji Łobodowskiego, kiedy w patetycznej formalistyce Wierzyńskiego pragnąłem na krótko przed wojną widzieć odpowiedź prawdziwą toczącym się czasom, myliłem się jeszcze gorzej niż ci, co głosili czystość wizji. Bo to nie była odpowiedź, lecz niewolnictwo. To było pójście pod ślepy, huczący tłum, by być deptanym i by krzyczeć. Myliliśmy się wszyscy prawie. W pomyłce Czechowicza nie było nic z uporu i doktrynerstwa. Był to błąd szlachetny i czysty. Poeta świadom był, co pomija. Jego słowa o dwóch sumieniach. I dlatego, chociaż ten błąd był mi widoczny, milczałem o jego poezji i wpływie. Dzisiaj żałuję. Bo teraz Czechowicz nie usłyszy nigdy głosu tej wdzięczności za jego lirykę, za naukę nowych wzruszeń i nowych wymagań, tych wymagań wewnętrznych, których byłbym się może nie dopracował bez obcowania z jego poezją.

I dlatego powiedziałem od razu, że z poetów, których brakło, jego miejsce jest najbardziej puste. Dlatego ponieważ spodziewamy się,

ponieważ pracujemy na to, ażeby po uciszeniu się szaleństwa nie były już potrzebne takie rozszczepienia i sprzeczności, jak te, na których rozpięty był ostatnio jego wpływ. Świat, gdzie nie trzeba będzie stłumiać swoich postaw moralnych, gdzie nie trzeba będzie buntów przemieniać w pozorną niezależność i samoistność form poetyckich, zamiast naprawdę, całą osobą swoją świadczyć lub przeciwstawiać. Takim go marzymy. W takiej przyszości, co przed nami, Czechowicz nie musiałby może pisać o płomieniu piekła, narodzonym z braku nadrzędności, z nieistnienia ładu, któremu gotowi jesteśmy dać świadectwo moralne i świadectwo piękna. O tym czasie, jakim nie było mu dane doczekać, marzył Czechowicz i o ten czas się modlił. Nie wszedł osobą swoją i twórczością żywą do tej ziemi. My do niej wnieśmy pamięć jego i poezję jego.

Zamknięta jest karta twórczości Czechowicza. Za sobą mając dwudziestolecie, które swoją ramą ogarnęło tę twórczość, przed sobą nowe roczniki żywych i dziesięciolecia czasu, roczniki, co wyjdą może z całkiem innych postaw duchowych, co może szukać będą innej sztuki, jakżeż im przekażemy krótko Czechowicza, my cośmy świadkami byli, co wiele zawdzięczamy tej poezji?

Dał poezję wysokiego kunsztu artystycznego a wielkiej prostoty i oczywistości duchowej. Kunszt jego poezji polega na niespodziewanym wydobyciu muzyczności z samego następstwa obrazów. Kunszt to tym trudniejszy i oryginalniejszy, że muzyczność obrazu i wiersza wydobywa przez skrót, zwięzłość, uwypuklenie. Ta zwięzłość na sposób całkiem rzeźbiarski, a jednak tajemniczy, barwi wizyjność Czechowicza. Dał bowiem poezję wyobraźni jak najdalszą od odtwórczych celów, jak najbliższą zupełnej swobodzie poetyckiej. W sztuce swojej wyraził osobowość niesłychanie polską, a bardzo współczesną. Miłość ziemi, związanie z klimatem piękna ziemi polskiej, a ziemia jest czymś więcej, aniżeli sama wieś, jest wszystkim, co w krajobraz najbliższy wniosła historia, jak przyroda dawna i przyroda, jak historia narodu jednorazowa, ta właśnie, nie inna, ta miłość ziemi jest u dna tej osobowości, ohamowana, domagająca się wynurzeń rzadkich i zawsze wysokich, niebanalnych. Polskość wstydliwa swoich wzruszeń, swej nieporadnej sielanki. Lecz polskość dnia dzisiejszego, widząca jasno rzeczy świata, kultury i dziejów. Odpowiadająca im pesymizmem. Dał to Józef Czechowicz, poeta czysty, lapidarny wizjoner.

(Studium powyższe było drukowane w konspiracyjnym „Miesięczniku Literackim" w Krakowie (red. T. Kwiatkowski) w listopadzie 1942 roku).

KAZIMIERZ WYKA

ŻAL

(Wspomnienie o Józefie Czechowiczu)

Niosłeś
biały oddech skrzydeł gołębi,
pieśni motyle —
U brzegu zachodu
lotki ostrzyłeś
snom.

Co noc
palce zanurzone w muzykach —
zakwitają wiersze.
Na krajce horyzontu
szedłeś nie długo
za płonącym pługiem
słów.

Brzoza,
zieleni tęskniący wiatr,
gdy słońca zraniony ptak
upadnie w staw,
— w łozach twoje smyczki —
Na miedzy kapią
czerwone głogi
ran.

Zbudowałeś
na łąkach łun
domek z witek migdałowca —
domek jak bemol
odwraca twarz —
Czy wrócisz — —

Nocą gwiazdy
gasiłeś w zapachu
rozoranych brózd —
a wiersz
— kolorowy sen
w krokusach unosiłeś
świtu.

Lutnisto cisz —
co wieczór
pali się rosa
na łęgach —
Cienie twoich twarzy
falują trawami,
— obłoków wilgotne
bzy —

W salwie
płonącego głosu
padł
czarny krzyżyk
na listach —
Czerwonym winem
skropiony chodnik
Lublina.

Do świtu
łuny rzek odpłyną,
brony tyralier
sen pokryje traw —
Nie woła czas,
tylko jesienią wiatr
na mogiłę napruszy
klonowych gwiazd —

JERZY LAU

PIERWSZA KULA

Kula, nim skrzydłem pożaru dach katedry zmiotła,
krążyła długo nad miastem w poprzek silnego profilu.
Prąd rzeki odbity w wietrze, zda się, odpychał ją dalej,
lecz szła naprzód nad stadion objęty pierścieniem bieżni,
nad gimnazjów dziedzińce, domy, które mijała ze wzgardą.
Jak obcy pasażer rzucony ze stacji na bruk
bierze dorożkę, nowemu miastu zagląda w twarz
i palcem pleców furmana dotyka, stopą odpycha pojazd.
Lecz następne nie patrzą, nie baczą następne pociski,
odpada niebieski tynk, żółty tynk dym owija,
w rdzeniu nocy Stare Miasto płonie gorący rubin,
ludzie biegną, jak karty wyrwane z Talmudu,
których pełno nagle w rynsztokach i które ogień czyta
skwapliwym okiem, zbija w sczerniałe stosy
i suchym płucem w żarliwy pożaru dech chłonie.
Tak do dnia trwało, który i miejsca po wieżach napełnił.
Wystarczy dnia na wszystkie szczerby i luki.
I człowiek leży. Obok martwa natura:
rozsypane z torby żołnierskiej jabłka przy trupie.
Trzeba pozbierać tamte pierwsze śmiertelne sielanki,
zanim jako zer szereg w beztreść liczby się stoczą.

ANNA KAMIEŃSKA

PRZED POEMATEM

Ustokrotnij obrazy swych wzruszeń, porzuć je w bezładnych szeregach, które oglądać się będzie latami, pierwsze porankiem i zimą, ostatnie przysypane rozpadającym się kaczeńcem.

Światło je porozłamuje, rozdzieli i wydobędzie ich podobieństwa. Ujrzysz się wtedy w mnogości póz, które ci przypomną setki napotkanych ludzi. To pozbawi cię słodyczy intymności i zbliży na krok do poszukiwanej prawdy słowa.

JULIA HARTWIG

LAS

Teraz pora na lasy bez poszycia, wyschłe od dołu i martwe. Słońce ukośne układa na ziemi nowy równoległy las, równie martwy choć świetlisty.

Po takich lasach błądźcie skazani na śmierć bladzi mieszkańcy miast pod takim lasem drżącym od warkotu samolotów chrońcie się przed rozpryskami pocisków w gałęziach.

A ty bujny gaju, grabie wspaniale szorstki, brzozo mglista, zapachu, trawo, uroku — obnażajcie się, bezwstydne, pękajcie lubieżne i krwiste. Wieczne, zachwycające urągowisko.

Jest to purytańska pochwała biało-czarnego drzeworytu przeciw porywającemu żywiołowi barwy.

JULIA HARTWIG

ŚCIGANY

Noc
wciąga mnie
w głąb.
Płynę w dłoniach jak w łodzi
Odpływam stąd.
Ukryty,
owinięty prześcieradłem,
drżę nagi
wyrzucony
na wierzch, na pościel
jak na groźny ląd.

Twarz przyklejona do szyby
jak liść.

To są kroki
to dzwonek
to zwykła rozmowa.
Uciekam od ściany do ściany
krzyczę szeptem:
jestem!

TADEUSZ RÓŻEWICZ

WYZWANIE

Już noc lub dzień jak wody ziarno
wydzielasz mi z uśmiechem patrząc,
gdy ciała mego smutny barok
zawile trwa pod Twoją gwiazdą.

Nie świecisz we mnie i nie śpiewasz,
mym ustom ogień zamiast kwiatu,
a dłoni ostrze dajesz teraz
jak obiecałeś sen i światło.

Prowadzisz mnie, czy tylko stoję
jak stoi drzewo pod przelotem
czystego nieba, albo płomień
nad krajem niebu niepodobnym?

Przemawiasz do mnie czy szyderczy
pociskiem godzisz, by zakrakał
nad nierozumnym moim sercem
jak kiedyś liść lub jak fujarka?

Zstępujesz Ty czy ja wyrastam
ponad swój głos i niemy pejzaż
i czyja dłoń ma kształt żelaza
i czyje słowo jest jak z serca?

Nie powiesz mi, a ja nie zgadnę,
ni jagnię Tobie, ani pasterz
i tylko nad milczeniem naszym
to samo słońce chmury kładzie.

Z teki pośmiertnej poległego w powstaniu warszawskim poety.

TADEUSZ GAJCY (KAROL TOPORNICKI)

POWRÓT

Słońc zielonych wiruje wiele
— to wiatr brzozom rozburzył liście.
Ile stało słońc, przyjacielu,
ponad serca zdumionym liściem,

ile zmierzchów gwizdało cicho
nietoperzy kaleką lotką.
Ile tego! nim zobaczyłem
ten liść brzozy niesiony wodą.

Ile tego! Wtedy nad głową
niebo było. Pod głową pięść.
Dzisiaj widzę jak ciężko wodom
tak ogromnym liść brzozy nieść.

Więc powrócę i w cienia trumnie
pod tym drzewem znajdę twój głos.
Przyjacielu, w pokornym tłumie
mych modlitwą złączonych rąk

żaden to Chrystus ciała Twego
spotkać nie zdołał. Ani cienia
postaci Twojej. Ale rzeki
ten głos posępny dał mi Ciebie.

Powrócę tam, skąd wody liść
uniosły ciężki. Słońc zielonych
wiruje wiele. Ciszy rżysko
po głosie Twoim. Wód spieniony

szum już odpływa. Czas szeroki
obmył Cię z ciała. Tak, to tutaj
mówiłeś wtedy: nie zapomnij
o mnie...

ROMAN BRATNY

MONA LIZA O CZWARTEJ PO RAZ PIERWSZY

Cóż że przeszłość? ... a ja wpław do tamtego brzegu!...
czas granicą zieloną także da się minąć,
...więc nie płacz, żeś starsza o głupich pięć wieków,
i pamiętaj: metro Louvre, punkt o czwartej, przyjdę.

Mówią, że wzrok twój ciężki od zamyśleń
widział wiele i wie, — że cisza w nim mieszka
jak w dłoniach świętych, gdy w kadzideł dymie
zasłuchani toną niby kościół w zmierzchach.

A ja wiem jedno — i ty też wiedz o tym,
że gdy błękit twych oczu (...pewnie są błękitne
i jasne jak sen dziecka w kołysanej nocy)
niby pył dmuchawców oddechem rozsypię

i zaświecą wtedy kolorem prawdziwym
— ja dojrzę: może też niebieskim, ale innym, obcym
jak niebo w dziobach kruków, jak błysk stali siny
i jak pustka błękitna nad śmierci obozem.

Mnie nie zwiedziesz pogodą i ciszą nie zwiedziesz,
ani jak chabry prostym spojrzeniem dziewczęcym
— ich niewinność zdradliwa! — potrafią bez drgnienia
wciąż błękitne troskliwie prowadzić ku śmierci.

Tak kucharka oczkiem niebieskim, niewinnym
węszy krwawą jak befsztyk sensację,
tak dam spojrzenia błękitne generała przyjmą
(—...pani wie — pięć tysięcy podczas jednej bitwy...),
tak Jacob Schmalz z uśmiechem stu dwudziestu stracił
— a uśmiech miał dziecinny, jasny i błękitny...

O, niebiesko na świecie, pogodnie...
ciszą ziemia tak ładnie wciąż kwitnie
— więc o czwartej, metro Louvre, nie zapomnij
he, he, Mona Liza — oczy przynieś ze sobą błękitne.

ZBIGNIEW STOLAREK

DALEJ

Ja, najwierniejszy człowiek, idę dalej
poezji wierny tak, jak wierni bywamy życiu.
Szukam najskuteczniejszej mowy, a w tym dziele
biorę przykład z murarza, który cegły muruje trafnie.

I ty nawet nie staniesz mowie mej w poprzek,
bo tylko ze mną możesz iść.
I oni też ze mną idą, wierszem tupią,
na nich pracuję i dlatego murarz jest moim bratem.

JACEK BOCHEŃSKI

I ZNOWU TATRY

Towarzyszowi krótkich dni górskich.

Gdy wychyliwszy się z okna wagonu oparłem wzrok o siny wał niby — chmur na południe, serce załopotało mi radośnie jak przy spotkaniu z najdroższym człowiekiem nie oglądanym przez długie lata rozłąki. Szturmowały ku niebu niezłomne, niepodległe, niezmienne w swej kamiennej urodzie jak sześć wieków temu, gdy zamglonym spojrzeniem żegnałem je schodząc w otchłań rozpaczy, krwi i śmierci. Te same zawsze: góry najpiękniejsze w świecie — Tatry.

* * *

Osiem lat temu ośmioletni malec udeptywał ścieżki pobliskich dolinek. Szczytem marzeń i najwyższym wcieleniem tatrzańskiego piękna była dla niego kolejka linowa. Sen ów ucieleśnił się kiedyś w podniebnej podróży na Kasprowy. Dziś miał nie tylko powtórzyć tę drogę, jako przyśpieszony dostęp na Halę, ale potem poznać góry z bliska, dopracować się ich urody wysiłkiem własnych mięśni i serca u boku ojca, którego życie związało się z tym światem od lat chłopięcych na zawsze.

Puste jest Zakopane ostatnich dni pierwszego, powojennego sierpnia. Śpią wyludnione pensjonaty, milczą dancingi. Tropikalne słońce wysila się, by nadrobić swe letnie zaległości. Pogoda i brak ludzi wróżą wspaniałą wycieczkę.

* * *

Podejście do Kuźnic. Już w ich pobliżu bolesny zgrzyt mąci harmonię pogody nieba i serca. Stacja męki narodowej. Tragiczny pomnik, jakich tyle w powojennej Polsce, jakiego nie oszczędzono i Podtatrzu. Lakoniczny napis: maj 1944, rozstrzelano dwudziestu Polaków. Fotografia ogłoszenia o zapadłym wyroku. W tym miejscu... Na tej zielonej trawie... Na tle tych pachnących smreków... Nawet to najczystsze, ozonem przesycone powietrze nie potrafiło ostudzić pijanych żądzą zbrodniczą mózgów i powstrzymać rąk niemieckich morderców. Krew ofiarna wsiąkła w kamienistą glebę, jak w piaski mazowieckie, wraz z synem mógł się piąć ku granitowej wolności tatrzańskiego podwraz z synem mógł siępiąć ku granitowej wolności tatrzańskiego podniebia.

* * *

Próżnuje serce, odpoczywają mięśnie, pracę prąd podejmuje elektryczny. Lekko sunie wagonik po naprężonej nad przepaścią linie. Pół kilometra niżej ściele się usłużnie zielony dywan smrekowych lasów, szmaragdowa sielanka rozsłonecznionej Hali Kasprowej i nagie ściany Ukrocia. Niemoralny wynalazek: bez wysiłku, za darmo ma się wysokość i widok, które winny być nagrodą za zdobytą na ich zużycie energię. Ale dzisiaj ekonomizuję tę energię na jutrzejsze pokonywanie pionu: syn ma słabe serce, a ojciec nie wie jeszcze, czy długie miesiące kaźni oranienburskiej nie przekreśliły całkiem jego możliwości górskich.

* * *

Pustką wieje ohydna i zbyteczna budowla na szczycie. Lecz jej martwota lepsza jest od przedwojennego targowiska. Na Kasprowym wita nas wichura nawalna i olśniewa najwspanialsza zjawa gór. Czyste są i przedziwnie w swej rzeźbie wyraźne. U stóp idylla doliny Cichej, dalej potworne cielsko kamiennej bestii — Hrubego i piramida Krywania, przed nami masywy Świnicy i łańcuch jej sąsiadów. W uszach trąby walącego z nóg halniaka. Walcząc z wiatrem posuwamy się granicą ku Liliowemu. Mijamy głaz graniczny. „S" od zachodu pozostało, ale politowania godne, pyszne a jakież pochopne i do trywialności prowokujące „D" po polskiej stronie już ktoś zaopatrzył podłużną pałeczką. Tak, na Odrze dzisiaj będziemy te literki stawiali!... Schodzimy szybko ścieżką z przełęczy. Niżej wiatr nacicha. W schronisku u Bustryckiej czeka nas herbata i wygodne łóżko. Jakże smakuje ono po niewywczasowanej nocy w pociągu!

* * *

Ranek wita nas klarownością panoramy Gąsienicowej i ostrymi podmuchami halniaka. Wiatr wzmaga się w miarę zbliżania się ku stawowi. Czarny bije falami o brzeg, szumi w swych popluskach jak przybój morski, bryzgi lecą w powietrzu. Cudowna kąpiel w słońcu, pyle wodnym i wichurze. Sobowtór Kościelca tańczy w rozchybotanym zwierciadle. Granaty zapraszają do wejścia. Ignorujemy ich gościnność, obchodzimy jezioro wspinając się ku Zmarzłemu. Ze ścieżki spoglądamy na staw w dole i stwierdzamy podobieństwo jego konturów do Afryki. Radość mego towarzysza na widok pierwszych klamer i pierwszego śniegu. Biwak przed Zmarzłym Stawem, przed kolebką u Zawratowej perci. Rozkoszna pustka na tym ożywionym zazwyczaj, jarmarcznym szlaku. Granitowe spojrzenie Granatów ma w sobie powagę rzeczy wieczystych, z którą kontrastuje kobieca zmienność migotliwej powierzchni jeziorka w dole. Więc tu byli Niemcy? — od tych skał odbijał się ich gardłowy, wstrętny warkot? Góry czyste, dziewiczo nietknięte strząsnęły z siebie plugawiące je robactwo i dziś w obojętności swego piękna zaprzeczają istnieniu koszmarów. Maszynka spirytusowa syczy, mocna herbata parzy nam usta, proza posiłku wśród skalnej scenerii sublimuje się w prawdziwą poezję. Kubkami wonnego wrzątku pijemy zdrowie gór, obaj młodzi i zrównani w latach.

* * *

Siesta nad stawem się przedłuża. Mija nas kilka dziewcząt z przewodnikiem-góralem na czele. Psia kość, Zawrat stał się wyprawą niebezpieczną, a może czas się cofnął i spotkamy za chwilę Chałubińskiego? Ale i my ruszamy: schronisko w Pięciu Stawach spalone, trzeba zdążyć do Morskiego przed zmierzchem. Spokojne zrównoważone podejście do skał. Powolny krok, zgięte w kolanach nogi. Serce pracuje sprawnie jak przed laty, jakby nie znało niemieckich „laufschrittów" w koncentracyjnym obozie. Możnaby nawet nie przystawać dla odpoczynku. Wreszcie wejście w ściany i radosna gimnastyka na łańcuchach i klamrach. Cieszy się mój towarzysz z radością pokonywując łatwe przeszkody; cieszę się z nim i ja: kiedyś z tą samą szesnastką lat na ramieniu przechodziłem podobnie ten szlak po raz pierwszy, przyjmując święcenia górskie. Może i jego Zawrat przyjmie do zakonu.

* * *

Przełęcz. Nawałnica zmusza do zejścia nieco w dół na ścieżkę pięciostawiańską. Chłopcze, chłopcze, pij ten widok pełnymi haustami: czyś widział coś podobnie pięknego? Wskazuję szczyty, wymieniam nazwy — dla adepta są to jeszcze słowa bez pokrycia, gdy dla wtajemniczonego każde z nich jest cząstką jego samego. Patrzę na poszarpane wierchy i myślę o swym chłopięctwie, o swej pierwszej młodości, której strzępy wicher czasu rozwiał po tych właśnie słonecznych dolinach, po tych podobłocznych graniach. Ileż ze mnie wrosło się w tę skały, spłynęło wartkim szumem tych potoków, wtopiło się w głąb tych mis pawiookich. I jakżeż mogą nie być te góry obce, gdy jestem w nich, jak one we mnie. Sześć okropnych, krwią ociekających wieków rozłąki. Mogłem Tatr nie zobaczyć już nigdy. A oto znowu stoję w ich obliczu, odradzam się w wieczyście młodej urodzie ich starczych kształtów, wzruszenie ściska mi krtań, a serce jak dziesięć, jak dwadzieścia, jak trzydzieści lat temu skanduje ekstatycznie płomienne słowo: kocham. Spoglądam na syna i chcę mu powiedzieć: Tatry to miłość.

* * *

Zbiegamy ku dolinie. Pod nogami piarg, kamienie, a potem miękka trawa. Wiatr nacicha. Woda mijanych stawów urzeka. Chciałoby się rozłożyć wśród duszącej woni kosówki w palącym słońcu ostatniego dnia sierpniowego i kąpać wzrok w ciemnozielonej toni płynnego żywiołu, a potem suszyć go na łagodnie kołyszącej się krawędzi Liptowskich Murów i Miedzianego. Ale nie ma czasu. Odwiedzamy tylko szałas pasterski i zaopatrujemy się w oszczypki. Spalone schronisko uderza falą wspomnień o sprawach niepowrotnie odeszłych. Kiedyś stało tu drewniane, w którego zgliszczach spłonęła również karta mej młodości. Dzień jutrzejszy zbuduje tu nowe, które — kto wie — przygarnie może rzeczywistość moich dni powojennych. Czy kiedyś spali je również jakaś ręka bezmyślna i tępa? Krótki biwak i na Świętówkę. Pion przepaści ku dolinie Roztockiej magnetyzuje tchnieniem śmierci. Z zabobonnym lękiem odsuwam syna od zawieszonej nad nicością krawędzi. Pożegnalne spojrzenie ku potwornym kształtom malachitowego Wołoszyna, ku szklącej się w słońcu ósemce Wielkiego i Przedniego Stawu. Na Opalonem dytyramb niebotyków. Granitowa pieśń ku chwale pionu, wieczystego Excelsior. Pod Rysami misa Czarnego Stawu. U stóp Mięguszowieckiego niewidzialne jeszcze Morskie. Czy kiedy powierzymy, chłopcze, swoje palce tym strzelistym ścianom?

* * *

Ranek chmurny i mglisty. To sprawka halniaka. Wczorajszy widok wieczorny stawu pozostał jedynie wspomnieniem. Nie ma Mięguszowieckich i Mnicha, tylko podnóże gór odsłonięte: piargi i kosówka. Ponura toń i ciemna zieleń smreków. Zostawiam towarzysza przy strumieniu z maszynką spirytusową i zupą, którą zamierza uwarzyć. Sam wypadnę ku Czarnemu, choć wiem, że nic nie zobaczę.

Leżę na głazie,na próżno sonduję nieprzeknioną przesłonę. Kto powiedział, że tutaj są góry? Widzę brzeg kamienisty i początek wody

gubiącej się w gęstej mgle. Z równym powodzeniem mogłaby to być jakaś spokojna zatoka morska lub wybrzeże równinnego jeziora. Cisza podkreślona dalekim szumem siklawy, samotność, dzikość i smutek. Deszcz zaczyna siąpić. Trzeba wracać do zupy. Ale kucharz się nie popisał i zupy nie było.

A teraz ścieżką leśną do Roztoki. Dzień wciąż leniwy i niewyraźny. Góry się zdematerializowały, ale las jest lasem. Kępy czernicowe wstrzymują nasze kroki, buszujemy wśród jagód. Łakomstwo i czarność naszych zębów i warg znowu równają nas w wieku. Wreszcie schronisko, najmilsze w Tatrach. Ze wzruszeniem oglądam tak dobrze mi znany zakopiański dworek. Więc ostał się w tej zawierusze! Stąd przed sześciu laty w gronie bliskich osób robiło się wypady na Młynarza, Zasłonistą, Żelazne Wrota. Tu zatykało się uszy przed pomrukiem nadchodzącej burzy, by w Kaczej Dolinie, nad zieloną taflą jeziorka poddawać się ostatnim pieszczotom słońca. I tu wreszcie żegnało się niefrasobliwie pierwszą połowę życia, schodząc z promiennych szczytów w mroczną dolinę zatracenia. A dzisiaj wracam tu znowu. Jakbym przerwał lekturę porywającej książki na tym właśnie miejscu i teraz ją znowu podejmował. Sześcioletni krąg szczęśliwie się zamyka. Dla iluż pozostał jedynie wilgotnym od łez i lepkim od krwi niedotkniętym łukiem?...

15. IX. 45.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

BIAŁA NOC

(Fragment opowieści)

Noc,pogrążona w transie najgłębszym, mżyła rozpyloną białością. Zimowe, zamarłe drzewa wołały o litość, łamiąc w rozpaczy swe długie, widmowe palce. Biły w nich serca podobne do tych, które ożywiały noc. Zwarte w sobie, przyciszone zimową kontemplacją, były ciemne i nieruchome, łącząc się w ten sposób z prawdziwą istotą nocy. –

Gwałtownie spadły na nie jakieś uciski drapieżne, wwiercające się aż pod korę, do głębi miąższu. Zaskrzypiały schrypłymi głosami w nagłym lęku. Mróz —

Noc otworzyła się raptownie i poczęła miotać na ziemię, drzewa, kamienne miasta i ludzi — białą zawieję. Rozkołysały się drzewa w bezsilnym szlochaniu i tęsknocie — wzburzyły się soki życia, ukryte w korzeniach. Prastary wiąz, świadomy swej mocy niezniszczalnej, wypuścił kilka zielonych liści. Zmarły, zanim zdołały przekonać świat o cudzie.

A śnieg wciąż sypał — — —

Była to noc najdziwniejsza. Znękaną ziemią, od wschodu — zachodu i południa — szli żołnierze. Śnieg kładł im na twarze białe, stygnące maski. Ciemność zacierała drogę, więc brodzili na oślep, z wyciągniętymi wprzód rękoma — jak ślepcy. Z głębi rozmigotanej nocy wybłyskiwały raz po raz krótkie okrzyki reflektorów lub płomieniste wybuchy pocisków.

Żołnierze szli, szli, szli.

Z chichotem i rykiem oszalałych motorów przedzierał się przez lepką zadymkę długi wąż samochodów. Wbijały żółte, przerażone ślepia w czarnobiałe szaleństwo przed sobą — aż zagubione w czymś, co się nie kończyło, gasły.

Ta sama noc, wszędzie. Bezszelestnie, bezustannie pada śnieg. — Więźniowie przywykli do kamiennej ciszy, słyszą szelest miliarda miękkich łapek, osuwających się po chropowatym murze. Nasłuchują. — W otworze okiennym klęczy rozmodlona noc — nic nie widać. Przytuleni do siebie, dzielą się komunią ciepła — zatajają jego nędzne resztki. W oczach mają noc — rozmawiają przyciszonym szeptem, dla nich tylko zrozumiałym...

— „To śnieg pada..." — mówi najmłodszy więzień, uśmiechając się do siebie.

Patrzą na niego z wyrzutem, jakgdyby pozbawił ich nagle wielkiej radości. Wiedzieli wprawdzie, że to śnieg, ale każdy z nich ważył w sobie tę tajemnicę — ni to bolesną ni radosną — każdy z nich sądził, że tylko on jeden domyślał się istotnej przyczyny niknącego w ciszy więziennej szelestu. — — —

Docierasz wszędzie, nocy zimowa! Na usta zachwycone, na wargi klnące, na oczy martwe i wypłakane kładziesz jednaki chłodny pocałunek. O, nocy — zimna i wspaniała!

Cmentarz w nocy jest pusty. Wczoraj dopiero umilkły strzały, rozrywające piersi bohaterów. — Zacichłymi alejami, niezliczoną plątaniną ścieżyn i przechodów, błądzą cienie otulone melancholią. Śnieg rzeźbi w natchnieniu żałobne pomniki drzew. Białe i czarne, fortepianowe — są jak pojedyńcze akordy, brzmiące nad grobami. Kamienne pomniki i krzyże odbrzmiewają metalicznym, głuchym rezonansem. Noc akompaniuje pianissimo. Białe, bielsze od śniegu brzozy płaczą wiolinowo — czarne dęby, graby i topole huczą stłumionym ziemią requiem. Cyprysy i tuje schyliły czoła w takt żałobnego marsza.

To cmentarz gra.

Intonuje wiatr i dzwoni cisza. Białe szkielety tańczą pośród drzew swój dance macabre... O, nocy niesamowita! — —

Góry milczą, oniemiałe z rozkoszy. Czuły zbliżającą się noc i w oczekiwaniu niecierpliwym zbłękitniały, pomroczyły się wcześniej od niej. Gdy przyszła — przejrzała się w ciemnych górach, jak w zwierciadle. Na czarne lasy, na ciemne szczyty spadła nagle biała rozkosz.

W najdumniejszych okrzykach ziemi rozpalił się zimny płomień — dreszcz przenika góry — już rosną w potęgę, która kiedyś dała im władzę nad światem. Niechaj rośnie w ogromy biała siła... — — — Gdy przyjdzie wiosna — gdy obojętna na wszystko gorącość słoneczna dotknie grzbietów gór — wówczas runie w doły rozszalały żywioł. Rzeki zżółkną i pokryją się pianą, jak zgonione rumaki... Ludzie uciekną w popłochu — domy zwalą się w wodę — na świat spadnie potop. Dumne, wyniosłe góry będą przez czterdzieści dni i nocy królowały niepodzielnie nad ziemią. Będą zanosiły się huczącym radością i potęgą śmiechem...

Cyt! dziś jest cicho. — Chłońmy grzbietami miękką białość — otwórzcie się rozpadliny i przepaści — chwytajcie śpiesznie biały

nektar, zanim słońce wyjrzy zza naszych bark. Eol żegnał dziś tutaj wszystkie wiatry, aby miotły śniegiem na spragnione góry. Rozpętała się na zboczach, szczytach i turniach — diabelska zawierucha. Z gwiazd, kwiatów i ornamentów śnieżnych powstał starzec - olbrzym, — Duch Gór — który z rozwianą na wichrze brodą, chichocząc wściekle, zbudził ze snu szatańską sarabandę żywiołów.

Noc gna już ku swej śmierci niechybnej. — Znużona baśnią i nierzeczywistością pędzi przez nagie pola ku miastom. Zatrzymała się u rozstaju dróg — usypała dziewiczy kurhan pod krzyżem — już weszła w kręte, wyboiste uliczki przedmieść. — Domy spały, błyskając martwym szkliwem okien. Wojna pogasiła wszystkie światła — ciemność była tu gęstsza, ustokrotniona olbrzymią masą milczących kamieni, które kondensowały w sobie duszę nocy.

Śnieg zaczął pruszyć w okna, a ludziom śniło się, że weszli w roztańczony krąg aniołów. Uśmiechały się przez sen dzieci. Ktoś, o duszy ciemnej i złej, śnił, że wołają go bezkresne, pełne jasności przestrzenie i że dobroć ogarnia go oczyszczającym płomieniem. — — —

Rzeka, przecinająca na ukos miasto, spięta była kamiennym blokiem mostu. Po nadrzecznych łąkach, nasiąkniętych mętną wodą, błąkały się smętki i łzy wygnane z ludzkich serc przez dobrotliwy sen. Na moście stał samobójca — po barierze pełzła ku niemu zielona Meduza. Człowiek pochylał się coraz niżej, coraz bezsilniej nad mroczną przeręblą rzeki...

Wówczas właśnie wpadła na most roztańczona noc. Z jednakową, zimną bezmyślnością złożyła tysiące misternych pocałunków śnieżnych na seledynowych oczach Meduzy i na rozpalonym czole człowieka. Potwór wzdrygnął się przerażony i plusnął w lodowatą głębię. — Człowiek uśmiechnął się — spojrzał jeszcze raz ku rzece, ale inaczej. Nie było w nim już pragnienia śmierci. Wolnym krokiem ruszył w ślady nocy...

Lublin, 1943.

STEFAN GRASS

PRZYSZŁOŚĆ

Sczerniały maczek, modrak i główka gwoździka,
która w siano pachnące się niechcący wplata,
pożółkły dziada list, gdzie jeszcze się kołata
szept przysiąg, którymi mą babkę przenikał,

tabakierka, do której wuj swój nochal wtykał
i szachownicy starej na stoliku karta —
zachwyca mnie to wszystko. Tak samo po latach
zachwyci tych, co przyjdą, mych wierszy muzyka.

O, żyję, żyję jeszcze. Wiatr czoło mi prości
i zapach śle tarnina, na oknie bzy wonne,
szmer moich pocałunków zagłusza podzwonne.

O, czytelnicy przyszli, żyjący w radości
bzów, lat szesnastu i całunków czystych, —
wasza miłość z kompostu mych kości skorzysta!

CHARLES CROS

Spolszczył K. A. Jaworski

NOCNE WIDOWISKO

Noc. Deszcz. W oddali mglisty kształt wyryty
w deszczowym niebie — stare miasto szczyty
zębatych wieżyc i dachów przemyca
głuche pustkowie. Na nim szubienica
z trupami, które tańczą wciąż chaconnę,
gdy kruki dziobią ciała ich bezbronne,
a wilki szarpią ich przegniłe pięty.
Gdzieniegdzie rośnie krzak cierniowy zgięty,
albo na czarnym bezbrzeżu ulewy
bodą kolcami chmury ostrokrzewy —
i orszak: trzej więźniowie, a straż piesza
nad nimi dwieście halabard zawiesza,
kojarząc w mroku wilgotnym złowieszczo
żelaza pik z żelazną siecią deszczu.

PAUL VERLAINE

z francuskiego przełożył Włodzimierz Słobodnik

PEŁNE MORZE

Między ptakami, między księżycami,
co przebywają w głębokościach morza
i które tylko odgadywać można
po wściekłej pianie, co powierzchnię plami;
między tym ślepym oceanu znakiem
i dawnym szlakiem podwodnym okrętu
a ryb bezmyślnym tłumem wielorakim,
które kierują tędy dróg swych skręty,
topielec szuka piosnki, którą składał
w dni swych młodzieńczych lotów i zapałów,
słucha na próżno małży i ukwiałów
i z nimi w głębię ciemności zapada.

JULES SUPERVIELLE

Spolszczył K. A. Jaworski

FRĄNCJO

Lękam się, że twe imię róży, Francjo moja,
z wierszy mych się wyrywa ku otwartym brzegom
jak ptak, co lotem szuka w zamkniętym pokoju
czaru nieba żywego.

Zawsze groźny niepokój przejmuje mnie dreszczem
przed wymówieniem ciebie, o imię miłości,
tak samo noc odwleka zdławienie jasności
i zawisa nad ziemią rozedrganym zmierzchem.

Lecz niekiedy znęcony czułym upojeniem
pod tajemniczym tchnieniem oszukańczej mocy
czuję się przesiąknięty ojczyzny imieniem,
jak pociąg sanitarny krwawiący wśród nocy.

Potem pojmując nagle ogrom mego błędu,
powiadam, że tym tylko wargi bez bluźnierstwa
imieniem twoim kwitną i nigdy nie więdną,
którzy mrą broniąc twego świętego jestestwa.

JULES SUPERVIELLE

przełożył Zb. Bieńkowski

UCHWYCIĆ

Uchwycić wieczór, jabłko, z marmuru boginię,
uchwycić cień i ścianę i ulicy linię.
Chwycić nogę kobiecą, kark w włosów zamieci.
Potem ręce rozewrzeć. Ileż ptaków leci!
Ileż ptaków znów staje się ulicy linią,
Cieniem, ścianą, wieczorem, jabłkiem i boginią.

JULES SUPERVIELLE

Spolszczył K. A. Jaworski

NA 20-LECIE ŚMIERCI SIERGIEJA JESIENINA

MÓJ SZLAK

Życie ustala się.
Mieszkaniec dawnej wioski,
wspominam czule to,
co mieści chat jej treść.
Ach, wiersze me,
niech o mnie wasze głoski
przekażą wieść.

Wieśniaczej izby mrok .
Dziegciowa woń do pował.
Ołtarzyk stary.
Oliwnej lampki blask.
Jak dobrze to,
żem dziś zachował
bogactwo tych dziecięcych łask.

Biel za oknami,
stos zamieci śnieżnej.
Mam dziewięć lat.
Babunia, tapczan, kot...
I babki taka smutna pieśń
jak step bezbrzeżny.
Staruszka żegna się
wpatrzona w płatków lot.

Za oknem zamieć.
To się gonią
tańczące, rzekłbyś, trupy w taki czas
Cesarstwo wtedy
zmagało się z Japonią
i wszystkim w oczach drżał
dalekich krzyży las.

Nie znałem wówczas
spraw ponurych Rosji
i nie wiedziałem,
skąd ten wojny czad.
Riazańskich smugi pól,
trud chłopów, śpiewny głos ich,
gdy siali zboże swe —
to wtedy był mój świat.

Pamiętam tylko to,
że chłopi wciąż szemrali,
diabłami klęli,
że Bóg i że car.
Lecz tylko im się
uśmiechały dale
i cytrynowej
naszej zorzy czar.

I wtedy właśnie
rymowi-m nie uszedł.
Od wiru uczuć
kotłował się mózg.
I rzekłem tak:
wypluszczę w słowach duszę,
gdym poznał tej świerzbiączki mus.

Za mgłą was widzę dziś,
o lata wy umarłe.
Pamiętam, dziad mi
z smutkiem kiedyś rzekł:
„To wszystko brednie.....
lecz gdy się uparłeś —
o życie pisz
i sław kobyli bieg."

I już do muzy
zapał rósł skrzydlaty
i w ciszy płynął
tajnych marzeń rój,
że będę kiedyś
sławny i bogaty
i że w Riazani wtedy
stanie pomnik mój.

Szesnasty rok,
już kocham się po uszy
i słodko marzę:
oto lata mkną
i tę najlepszą z wszystkich dziewczyn muszę
poślubić, choćby nie wiem co.
— — — — — — — — — —
Za rokiem rok.
Zmieniają się oblicza —
i promień inny
na nie padł.
Marzyciel wiejski
tam w stolicy
poetą sławnym jest od lat.

W pisarskiej nudy
pochwycony sploty
po różnych stronach
włóczyłem się tam,
nie pragnąc spotkań,
nie wierząc w tęsknotę
i mając cały świat za kłam.
Wtedy-m zrozumiał,
co to znaczy Ruś,
i zrozumiałem, co to sława.
Tęsknocie-m próżno
wołał: puść!
i gorzką stała mi się strawą.

Po diabła każdy
mnie poetą zwie!
I tak bez tego śmiecia dosyć.
I choćbym zdechnął,
tylko...
nie,
pomnika mi nie trzeba wznosić.

Car... Ucisk... Rosja
Smutku twarz....
I pobłażliwa wielkopańskość.
Więc cóż!
Gdy tak, to, Moskwo, masz
me rozpaczliwe chuligaństwo.

Zobaczym —
kogo kto pokona!
I oto w wierszach mych
ochoczo
po lśniących zgrai tej
salonach
kobyła już chlusnęła moczem.

Co, nie podoba się?
No, racja —
wolicie l'Origan,
mimozy...
Lecz wszak ten chleb,
co go tak ćpacie,
myśmy go tego... też
nawozem....

Znów minął szereg lat,
a w latach tych coś było,
co nie da się
prostymi słowy rzec:
roboczy powstał lud
z majestatyczną siłą
i carat przed nim musiał lec.

Wytarłszy kątów
obczyzny niemało,
witałem znów
rodzinny dom.
Zielonokosa
w sukieneczce białej
spogląda brzózka w stawu dno.

Ależ to brzózka!
Pierś jej zachwyt budzi,
bo takich piersi
nie ma z kobiet nikt.
Wracają z pól zbryzgani słońcem
ludzie
i w kłębach kurzu wóz
z pszenicą znikł.

Nie poznał żaden z nich.
Ot — ktoś tam nowy.
Lecz oto mija
baba jakaś mnie.
I nagła myśl
uderza mi do głowy
i plecy dreszcz ku ziemi gnie.

Ach, czyżby tak?
To ona... nie poznała?
Więc niech tam, cóż
nie zbije wieść jej z nóg...
I tak beze mnie
wszak ma trosk niemało —
nie darmo ust
boleśnie zwisa łuk.

W wieczorny czas
zsunąwszy czapki daszek,
aby nie zdradzić,
co ukrywa wzrok,
popatrzeć chodzę
na te stepy nasze
i słuchać,
co mi szepce mrok.

Cóż począć,
minął maj mych lat!
Czas wielki zabrać się
do pracy,
by w owoc dojrzał duszy kwiat,
by śpiewać już inaczej.

I niechaj inna, nowa wieś
napełni nową
znów mnie siłą,
jak przedtem
sławę chciała nieść
rosyjska swojska mi kobyła.

SIERGIEJ JESIENIN
(zm. 27 XII 1925)
spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

WICHER Z PÓŁNOCY

(z poematu „Kalinowski")

Wicher z północy
zniżonym lotem
rwie ciężkie statki wieczornych chmur,
kołysze masztów pijanych gotyk
i gęstych cieni skłębiony sznur.
W taki czas nie ma kto nawet rzec ci
choćby o szumie ojczystych pól.
Oto na gwarnym Newskim Prospekcie
wieczór rozżarzył płomyki kul.
Miasto ogromne, miasto szalone,
szare granity, za gmachem gmach
i wszędzie ostróg głos uprzykrzony,
ordery, orły i szlify w skrach...
Ziemia zduszona tronem - łańcuchem,
mocno w nią pałac cesarski wrósł.
Zda się nie sposób gniewnym podmuchem
mocy tej zwalić ludowi w gruz.

Wicher z północy
o łódź miesiąca
pluszcze wciąż Newy zsiniałą stal...
Pewno tak samo gdzieś Niemen trąca
o brzegi pianę kudłatych fal.
Pewno gdzieś drzemią chaty-lepianki,
łuczywo — nocy kołysze pleśń
i nędza składa swe kołysanki,
o złej pańszczyźnie ponurą pieśń.
Ale, mój ludu, dzisiaj w mozole
wlokący jarzmo jak kierat koń,
kiedyś w południe słońce na stole
postawi sobie i twoja dłoń!
Może za progiem w głuszy sosnowej
żniwiarka nocą w modlitwach trwa.
Może ty dzisiaj cień Pugaczowa
kołyszesz pieśnią swą, wiosko ma?
Wicher z północy polarny i bystry
zatapia w miasto
lodowy nóż....
Pewno nad Niemnem miecie on iskry
słomianej strzechy skrzydłami burz.
Pewno na mlecznej gwiaździstej runi
wsłuchany w poszum sybirskich rzek
z zagasłą fajką wolny Bakunin
zerwawszy pęta idzie przez śnieg...
A gdzie step morze całuje sine
i gdzie w kurhany dmie słony wiew,
kołysze w trawie świat Ukrainy
Kobzarza ze snu budzący śpiew.
Dość w dal ojczystą
patrzeć z zadumą!
Gdyby tak stanąć na statku chmur,
pod żaglem wichrów północnych z szumem
wpłynąć na fale kwitnące lnu.

MAKSIM TANK

autoryzowany przekład z białoruskiego Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

RUJA*)

Olchy, osiki, polany,
pnie, starych mchów podkłady.
Krew wilcza świeża, rozlana
samotnym pali się śladem.

Drzemią znajome bagniska
i leżą zawiane śniegiem.
Tam, kędy łozy srebrzyste
zmęczony czujnie przylegnie.

*) W „Małej Bibliotece Kameny" jako tomik 2 B miał się ukazać w r. 1939 „Wybór poezyj" Tanka w przedkładach K. A. Jaworskiego i nie żyjącego już J. K. Weintrauba. Wojna uniemożliwiła ten zamiar. Pozostała puścizna przekładowa zmarłego poety, z której zamieszczamy trzy tłumaczenia.

Sny żywe go otuliły:
ruję i gąszcz leśny śni.
Czuję na łapach, na szyi
wilczycy szarej kły.

Budzi się... Noc pusta... Cicho...
Stóg drzemie ciemno siwawy.
Więc pieśń przeciągłą i dziką
gwiazdom dalekim zawył.

O mieście świeżym, dymiącym,
w gęstwinach ciemnych i ślepych,
o ogniu z noclegu płonącym
i pieśń o pustych czerepach.

A w zimną sierść otulone
iskrzy się srebro miesiąca.
I stygnie czerwonym szronem
krew z pieśni spływająca.

MAKSIM TANK

autoryzowany przekład Jerzego Kamila Weintrauba

POCZĄTEK ODY

Wiązankę zimną i błękitną
spleść z kwiatów łatwo. I nic więcej.
Trzeba mieć tylko trochę sprytu
i bezbolesne, białe ręce.

I żebra miękkie. I wilgotnym
ogonem rybyim z prądem płynąć.
Wtedy to żabi rechot błotny
nazwą — z mistrzowskich ód — jedyną.

A kto nie czytał ust rusałek
wymalowanych, z sypką rzęsą,
tego oszczeka zastęp cały
bez rytmu, składni i bez sensu.

Nie ugiął karku? Jeszcze lepiej!
To tuz fabryczny czy wieprz dziki
etykietkami cię oblepi
i napiętnuje wykrzyknikiem.

Wtedy to diabłów brać złośliwa
łojąc cię ściągnie poprzez schody.
U nich to końcem się nazywa,
a u mnie to początek ody.

MAKSIM TANK

autoryzowany przekład Jerzego Kamila Weintrauba

O RZECZACH NIEDOSTRZEGANYCH

Życie literackie w powojennej Polsce odradza się szybko i normalizuje. Jeszcze nad Wisłą grzmiały armaty, gdy w Piemoncie lubelskim ukazały się pierwsze numery „Odrodzenia" i cztery ważkie zbiorki poetyckie. Lublin przeżył krótką chwilę, kiedy był nie tylko stolicą polityczną dźwigającego się państwa, ale i ośrodkiem życia kulturalnego. Wkrótce jednak skończył swą bajeczną karierę, zubożał na korzyść nowych ośrodków artystycznych: Krakowa, Łodzi, Warszawy, Poznania i Katowic. Pism związanych z literaturą powstawało coraz więcej, a pokaźna ich liczba jeszcze się powiększy. Sejm literacki odbył już swe posiedzenie, radzono nad wielu ważnymi sprawami, poruszono nawet kwestię ortografii, zapomniano tylko o jednym, o czym milczą również staczający z sobą boje „materialiści" i „katolicy".

A rzecz jest niezmiernie ważna, bliska sercu wszystkich piszących i dziw po prostu, że nikt jeszcze w tej materii nie zabrał głosu. A przecież jak malarza interesuje gatunek farby, którym się posługuje, jak rzeźbiarz bada najpierw jakość gliny, z której lepić ma swe dzieło, tak pisarz ocenić winien wartość tworzywa, z którego korzysta. Nie tylko ważne jest, co pisać, ale również — a literata najbardziej to obowiązuje — jak pisać. I mam tu na myśli nie styl pisarski, który zależy od indywidualności autora i normowany być nie może, ale po prostu język, jego poprawność. Czyścimy Polskę z wszelkiego brudu, w artykułach naszych dajemy wyraz tylu troskom o jej szczęśliwą przyszłość, kłócimy się o właściwe rozumienie humanizmu, a nie zauważamy, jak łatwo kapią z naszego pióra na czyste stronnice najlepszych intencji brzydkie kleksy rażących nieraz błędów. A przecież na nas uczyć się mają piękna polszczyzny masy, te masy — a mam tu na myśli nawet tak zwaną inteligencję — które dzisiaj z taką łatwością używają absurdalnej formy „sowieci" (użyła jej, ale chyba żartobliwie, choć bez cudzysłowu, i znana humorystka w pewnym tygodniku), które tak szybko asymilowały dziwaczny nowotwór „szaber", nie mówiąc już o dogorywających, chwalić Boga, koszmarach „kenkart" i innych zabytków hitlerowskich.

Ale przystąpmy do rzeczy. Aby nie być gołosłownym, zaopatrzyłem się w pokaźną liczbę przykładów zaczerpniętych nie z jakichś prowincjonalnych dzienników, ale z pism literackich lub blisko z literaturą związanych. Są błędy typowe, powtarzające się w różnych periodykach, są sporadyczne wyskoki. Zacznę od pierwszych.

Oto wypadki niewłaściwego użycia przysłówka „względnie" potraktowanego jako przyimek: „nieestetyczne w z g l ę d n i e antyestetyczne", „... komu w z g l ę d n i e czemu zawdzięczają przetrwanie dni grozy", „państwa demokratyczne budują się na podstawach zawodowości w z g l ę d n i e fachowości." Wszędzie tu zamiast „względnie" powinno być „albo". Błąd ten względnie nie jest jeszcze tak straszny. Gorszy jest przyjęty z rosyjskiego spójnik „a" po rzeczowniku z przeczeniem (zamiast „lecz": „nie kontury, *a* małe i szare łuki kościoła", „...nie jakaś zaświatowa Świtezianka i bliżej nieokreślony Strzelec..., *a* dwoje młodych współczesnych chłopów". Nawet tłumacz w wierszu powie: „nie Helena, *a* inna." Skoro już mowa o rusycyzmach, nie obywa

się i bez „*za* wyjątkiem" („za iskliuczeńjem"): „...*za* wyjątkiem pogłowia bydlęcego", „...ogół polski *za* wyjątkiem niedobitków sanacyjnych", bardzo rozpowszechnione jest „tym nie mniej" („tiem nie mienieje") zamiast „nie mniej jednak": „...t y m n i e m n i e j stawia ona określone postulaty pisarzowi", „...t y m n i e m n i e j jest to ludność polska", „... t y m n i e m n i e j formy zostały zepsute i zgangrenowane" i błąd typu „jakby nie było" zamiast „jakkolwiekby było": „...jakakolwiek by n i e była ta miejscowość" — oraz nagminne u niektórych umieszczanie rozpoczynającego zdanie przydawkowe zaimka względnego „który" na drugim miejscu bezpośrednio po rzeczowniku: „...choroby, d o w y l e c z e n i a k t ó r e j..." (zam. „do której wyleczenia"), „...potrzeby, d o z a s p o k o j e n i a k t ó r y c h", „stacja, n a p e r o n i e k t ó r e j..." Ze sporadycznych rusycyzmów zauważyłem „przyszło s i ę" zam. „przyszło": „...najlepszego z miesięczników literackich, któremu teraz przyszło się, niestety, zemrzeć za kolaboracjonizm."

Ktoś pisze: „nie wiem też, co rozumiał p o d tymi słowami szofer" — po polsku „co rozumiał przez te słowa szofer", rusycyzm i germanizm jednocześnie. „J e d n y m słowem" też pachnie rosyjskim, wystarczy tylko „słowem". „J e d n y m słowem, z pozoru wszystko w tej sytuacji..."

A oto epidemiczne galicyjskie „ubierać coś" w znaczeniu „wkładać": „...garnitur, który u b i e r a ł dwa razy do roku" i „szukanie z a czymś"; „poszukiwanie z a autorem". Oto zagadkowy „młodzieniec z a o k u l a r a m i" (sic!). I b u t e b r o t y w wierszu! Na kilkunastu stronicach drażni nasze oczy wciąż powtarzający się błąd w przypadkowaniu miesięcy: „1 s t y c z e ń, 7 s t y c z e ń, 8 styczeń...1 luty, 3 luty... 3 marzec, 4 marzec... itd.usque ad finem. A przecież to nie pierwszy ani siódmy styczeń, tylko pierwszy i siódmy dzień miesiąca stycznia. Wspaniały skądinąd utwór plamią takie błędy: „...gdy trzeba, jeden strzał o d d a", „...rano nie o d d a w a l i strzału..." Nie rozróżnia się „ilości" i „liczby": „i l o ś ć imprez kulturalnych", „i l o ś ć przedstawień", albo czasowników „ciążyć" i „ciężyć": „...której bierny opór c i ą ż y (ku czemu? przypis. nasz) i przeszkadza w pracy." Obok licznych rusycyzmów i germanizmów dla okrasy galicyzm: „uzbrojona p o z ę b y" (jusqu' aux dents) zamiast „od stóp do głów".

No chyba wystarczy. Wylazł belfer — powie ktoś. Ale sprawa jest zbyt poważna, aby ją zbyć żartem. Cytaty wyjęto z sześciu periodyków poświęconych kulturze i sztuce i z dodatku literackiego poważnej gazety. Nomina sunt odiosa. Ale to nazwiska literatów, publicystów a nawet językoznawcy i emigracyjnego ministra oświaty. —kaj—

Znakomity poeta ukraiński, członek zarządu Komitetu Słowiańskiego i przewodniczący Związku Pisarzy Ukraińskich Maksym Rylśkyj obchodzi swe pięćdziesięciolecie. Rylśkyj to nie tylko doskonały poeta oryginalny, ale i świetny tłumacz. Jego przekład „Pana Tadeusza" należy do najlepszych. Prócz tego przetłumaczył „Eugeniusza Oniegina" i wolterowską „Darczankę", a ostatnio „Cyrana de Bergerac" Rostanda.

*
* *

W ramach niedawnej rocznicy słowackiego powstania z 1944 r. odbył się w Bańskiej Bystrzycy zjazd słowackich naukowych i literackich pracowników. Zjazd powitał pełnomocnik Rady Narodowej Słowackiej dla spraw kultury, znany poeta Laco Novomesky. Udzielono na nim nagrody literackie: z poezji poecie Jankowi Jesenskemu, który w swej twórczości budził ducha oporu narodowego, za zbiorek poezji „Czarny dzień"; ze sztuk plastycznych artyście F. Kostkowi ze Srupawy, za muzykę kompozytorowi Janowi Cikkerowi, za poemat symfoniczny „Bój" inspirowany wrażeniami z wojny, za naukę prof. Igorowi Hruśowskiemu za monografię o Baconie i angielskiej filozofii. Poza tym zjazd wybrał przedstawicieli słowackiego świata kulturalnego do Tymczasowego Zgromadzenia Narodowego i Słowackiej Rady Narodowej, wybierając między innymi znanego krytyka Milana Pisuta, historyka literatury, swego czasu stypendystę w Warszawie Rudo Brtania i poetę Jana Jesenskiego. Na zjeździe uczestniczyła delegacja czeskich pisarzy i uczonych z Pragi oraz znany sowiecki pisarz Konstantyn Simonow.

Ondra Lysohorski, poeta piszący w języku „laskim" to jest Wołochów pogranicza morawsko - śląskiego (o Lysohorskim pisało przed wojną „Zaranie Śląskie"), który od 1939 r. przebywał w Związku Radzieckim, wydał świeżo w Pradze swe poezje z lat 1931 — 1943 pod tytułem: „Pisne o slunci a zemi". Opiewa w nich swój kraj, jego walkę o wolność, bohaterów ludu (Ondasz, Stefanik), przyjaźń narodów słowiańskich, nienawiść do hitleryzmu, wspólną walkę ludów o wolność. (jr)

Janko Jesensky, 70-letni literat słowacki, autor „Po burkach" i „Demokratów", w czasie wojny jeden z działaczy słowackiego ruchu oporu przeciw hitlerowcom, niedawno odznaczony słowacką nagrodą za r. 1945 został uznany „pisarzem narodowym". (jr)

W spuściźnie po zmarłym świetnym wolnościowym poecie czeskim Józefie Horze znaleziono ukończony przekład sławnej epopei chorwackiej Iwana Mażuranicza „Śmierć Smail Agi Czengisza". Epopea ta opiewająca bój południowych Słowian z muzułmanami o wolność, pisana w r. 1846 była już przełożona w roku 1860 na czeski przez Józefa Kollara. (jr)

W Czechach obserwujemy żywy ruch na polu czasopiśmiennictwa literackiego. Związek pisarzy czeskich wydaje „Kriticky Mesicnik" pod redakcją Wacława Czernego, o starannej szacie zewnętrznej i wysokim poziomie. Organem lewicy literackiej jest „Tvorba" pod redakcją St. K. Neumanna. Świeżo założona „Duchowa pracownia", kolektyw literacki młodych poetów, prozaików i krytyków wydaje „Kvas". Organem katolickim jest, „Vysehrad". Czasopismo „Kytice" nawiązuje w tytule do utworu znanego poety XIX wieku obecnie przeżywającego swój renesans Erbena. Sporo miejsca sprawom kultury poświęcają pisma ogólno-społeczne jak „Nase Doba", socjalistyczny „Cil", „Masarykuv Lid" i „Nova Svoboda". Na prowincji wychodzi w Pardubicach „Prostor" a świeżo wznowiona została w Ołomuńcu „Archa", która zawsze sporo miejsca poświęcała sprawom polskim, południowo - słowiańskim itd. (jr)

Teresa Vansova, znana słowacka autorka, redaktorka „Dennicy", autorka „Sieroty Podhradskych" zmarła 11 października 1942 r. (jr)

Pod okupacją rosyjską Łużyczanie odetchnęli po 12 latach prześladowań. Obecnie działa znów Macica Serbska w Budziszynie i Chociebużu, założone zostały łużyckie stowarzyszenia, wychodzą łużyckie pisma. Mimo tego ze strony urzędów administracyjnych pozostających w ręku Niemców w dalszym ciągu kładzione są przeszkody na drodze dalszego rozwoju narodowego Serbo - Łużyczan. W sprawie tej Macica Serbska złożyła odpowiedni memoriał rejonowemu komendantowi Armii Czerwonej w Chociebużu, domagając się, aby i w dolnych Łużycach przywrócono język łużycki w szkole, zwrócono Macicy jej bibliotekę, lokale itd. Ze strony łużyckiej czynione są starania o autonomię dla Łużyczan lub przyłączenie ich do Czechosłowacji. W Pradze wydawane są „Sprawy Luzickosrbskeho narodniho vyboru". (jr)

Nowy dramat bułgarski staje się żywym i bezpośrednim wyrazem życia ludu. Należy tu wymienić dramat K. Vjulev Vjulecova „Walka trwa dalej" oraz dramat Karlewa i Penżewko „Partyzanci" zaczerpnięty z współczesnych politycznych wydarzeń. (jr)

NOTY

KSIĄŻKĄ PISANĄ KRWIĄ I ŁZAMI i straszliwym zbiorowym j'accuse pod adresem barbarzyńskich okupantów jest „Terror niemiecki w Zamojszczyźnie 1939—1944". Ta wstrząsająca publikacja, której materiał powinien być uwzględniony w procesie norymberskim, ukazała się jako t. I. wydawnictwa materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944 pod redakcją dr Zygmunta Klukowskiego, zasłużonego działacza i redaktora b. „Teki Zamojskiej". Zbiór zawartych w tej książce wspomnień i pamiętników ofiar hitlerowskich, którym cudem udało się ujść śmierci z rąk oprawców, to pierwszorzędny materiał historyczny i ważki przyczynek do charakterystyki tego inferna, jakie stworzyły w Polsce (jak zresztą wszędzie, gdzie but ich stąpał, choć nigdzie może tak okropnego) krwawe bestie okrywające się dziś jagnięcą skórą.

BYLI WIĘŹNIOWIE NIEMIECKICH OBOZÓW zapytują uprzejmie Stanisława Dygata, w którym więzieniu, w którym „lagrze" panowały tak sielankowe stosunki, jak te, które poznajemy z „Susanne" („Twórczość N 3)? W celi termos, na którym pisało się „naglące listy, aby robiono starania o zwolnienie", termos, „przysyłany w dozwolonych koszykach", podróż do obozu w Konstancji w pulmanowskim wagonie, podróż niemal dla przyjemności,turystyczna, pozwalająca beztrosko obserwować krajobrazy i oddawać się refleksjom na temat tego, że Wrocław, Drezno, Monachium to nietylko „punkciki otoczone kółkiem" na mapie, ale miasta istniejące naprawdę. Opis całej drogi statkiem przez jezioro Bodeńskie to przecież doznania turysty, globtrottera, ale nigdy ofiary przemocy hitlerowskiej, ofiary jadącej do obozu. A potem ten obóz, w którym bohater tak łatwo spotyka się z czytającą Schopenhauera Susanne, w którym można się kochać, naznaczać randki à demain i przychodzić na nie z „grubymi tomami trzech wieszczów". Wszystko to skąd inąd miłe, nawet ładnie napisane, ale tylko „Dichtung", a gdzie „Wahrheit"?

TWÓRCZOŚĆ w trzech swoich książkach dała wiele bogatego materiału literackiego o poważnym ciężarze gatunkowym. Ale czytając te interesujące i piękne wyjątki z powieści (Andrzejewski, Kurek, Kisielewski, Hołuj, Dygat, Brandys) i zatrzymując się nagle w oczekiwaniu dalszego ciągu, czujemy coś w rodzaju żalu do redaktora. Czy obrał właściwą drogę, czy zamiast dawać rewię fragmentów przy rozporządzaniu bądź co bądź 200 stronnicami miesięcznika nie uczyniłby lepiej, gdyby zaprezentował chociażby jedną powieść w całości drukując ją częściami. Bo przy dzisiejszym powolnym tempie naszego ruchu wydawniczego (jak dotąd z nowych powieści jedna tylko „Krata" Gojawiczyńskiej) kiedyż poznamy dalsze losy chociażby perypetyj miłosnych Susanne i jej partnera w sielankowym obozie niemieckim?

MORCINEK ŻYJE i w N 9 „Odry" zapoznajemy się z interesującymi wrażeniami jego z wywczasów poobozowych, które spędza w ośrodku „mahistów" Villard de Lans wśród uczniów i nauczycieli gimnazjum polskiego, z których 25 wzięło również udział i część z nich złożyła daninę z krwi i życia w ruchu „maquisardów".

A. BRONIEWSKI POWRÓCIŁ w świetnej formie i czytamy cykl jego wierszy w „Kuźnicy".

300 : 1 taki ma być stosunek powojennej produkcji wydawniczej czeskiej w porównaniu z polską, jak podaje „Odra" w N 9. Czy te cyfry nie każą nam bić na alarm?

„TYGODNIK POWSZECHNY" poza artykułami zasadniczymi i polemiką z marksistami poświęca również uwagę, co nas przede wszystkim obchodzi, i literaturze pięknej. W N. 35 znajdujemy piękne wiersze J. Wołoszyńskiego. N 37 przynosi utwór Stanisława Ostrowskiego „Pejzaż utracony" (przedruk z „Nowej Polski"). Gdy się czyta te nabrzmiałe nostalgią, wzruszające strofy: „Niebo mojej tęsknoty ma barwę jedyną, A choć wiele na świecie jest ojczyzn piękniejszych, Wszystkie palmy przyszłości mi zwykłą brzeziną, Mój pejzaż mazowiecki — uboższy i mniejszy", a potem (pisane w czerwcu 1945 r.!): „Nie wiem, ile dróg jeszcze przemierzę, nim wrócę Do kraju, gdzie została wszystka miłość moja"..., mimo woli ciśnie się na usta pytanie: Na cóż czekasz, poeto? Miast ronić łzy nostalgiczne czy nie prościej zapakować manatki i wracać do Polski? A ty jeszcze nie wiesz, „ile dróg przemierzysz" (z Lubeki)!

MOŻNA SIĘ NIE ZGADZAĆ Z J. A. KRÓLEM w jego zagalopowaniu się względem „ziemiańskiej" poezji Kochanowskiego, który krajobraz wiejski poznaje „z próżniackiej pozycji kapitalisty" i maluje go „poetycko bardzo ubogo"; można na cytatach wierszy poetów chłopskich ze „Wsi" udowodnić, że nie zawsze patrzą na „zagony, łąki i lasy" jako na „składniki pracy" tworząc jednak poezję, — ale trzeba stwierdzić, że „Wieś" jest tygodnikiem żywym i potrzebnym. Zamieszczony w niej „Pamiętnik chłopa pańszczyźnianego" Szarka to lektura niezmiernie interesująca już choćby przez kontrast do współczesności: nie upłynęło 50 lat od śmierci autora, a jakaż różnica! Tamten ząbkujący jeszcze pisarz chłopski, nieśmiały w swych poczynaniach literackich i w obcowaniu z Kraszewskim, pisarz, któremu Komitet odmówił biletu wstępu na uroczystości jubileuszowe ku czci autora „Starej baśni" i dzisiejszy pełen rozmachu ruch literatów chłopskich, zrzeszonych, mających swój organ no i wiele nazwisk pięknie w naszym piśmiennictwie zapisanych. W numerach 17 i 18 „Wsi" cenną pozycję stanowią fragmenty satyrycznego „Poematu nowosieleckiego" J. Ozgi - Michalskiego i pierwsza reakcja poetycka na reformę rolną „Moje pole" A. Olchy, którego już pierwociny „Przed świtem" zapowiadały, jak to sygnalizowała w swoim czasie „Kamena", tęgiego poetę.

NR 7 „ZDROJU" poświęcony jest całkowicie Prusowi z okazji stulecia jego urodzin. Znajdujemy tu m. in. artykuły J. Kleinera, Z. Klingerowej, S. Kunowskiego i dwóch, zdaje się, jedynych w Polsce specjalistów od Prusa — F. Araszkiewicza i Z. Szweykowskiego oraz wyjątek z adaptacji scenicznej „Faraona" dokonanej przez Z. Klingerową i S. Jedlewskiego. „Faraon" ma być wystawiony w warszawskim teatrze Szyfmana.

UKAZAŁ SIĘ NR 1 „ARKONY", bydgoskiego miesięcznika, poświęcony kulturze i sztuce. Pismo formatem, nawet czcionkami druku, przypomina przedwojenne „Wici Wielkopolskie" i zdaje się być ich kontynuacją, spotykamy tu bowiem m. in. współpracowników tamtego skromnego a tak pożytecznego wydawnictwa. Jako bastion polskiej kultury na Pomorzu, miesięcznik ten ma przed sobą bardzo poważne zadania. Nr. 1 wskazuje, że „Arkona" zdaje sobie z tego sprawę.

OSTATNIO WYDANO DWIE NOWE PUBLIKACJE POETYCKIE: „Lata powrotu" Pasternaka, („Książka") i „Strzępy okupacji" (wyd. S. A. Krzyżanowski). Do zbiorków tych, jak i do wydanych wcześniej „Sprawy wyobraźni" Bieńkowskiego, „Pamiętnika lirycznego" Huszczy,

„U płomienia" Lau'a, „Podróży do świętej Ziemi" Nowickiego i „życia — naprzeciw" Sadowskiego — wrócimy jeszcze w przyszłości. Na razie sygnalizujemy ich ukazanie się.

„POŻEGNANIE HITLERA" (Biblioteka „Szpilek" Nr 1) wydaje nam się książką zupełnie zbyteczną. To, z czego mogliśmy się śmiać przed wojną, zanim zetknęliśmy się osobiście z krwawym koszmarem niemieckim, nie pobudza nas dzisiaj zupełnie do śmiechu. Zbrodniarz, który zniszczył miliony istnień ludzkich i zburzył setki miast, nawet żywy nie może być przedmiotem humoru. Nie zasługuje na to. Tym bardziej padlina.

ROZESŁALIŚMY EGZEMPLARZE WYMIENNE „KAMENY" do wszystkich pism poświęconych kulturze, literaturze i w ogóle sztuce w Polsce. Niestety, otrzymujemy tylko „Zdrój", „Tygodnik Powszechny", „Twórczość", „Arkonę" i „Wieś". Inne redakcje nie uważają za stosowne przysyłać nam swych wydawnictw, a może egzemplarze do nas nie dochodzą? Za to pismo mało z literaturą związane, jak „Pobudka", „Wici", „Tygodnik Demokratyczny" zainteresowały się „Kameną". Ponieważ nie wszystkie periodyki można nabyć w tutejszych kioskach, utrudnia to nam kontakt z życiem artystycznym w Polsce. — —kaj—

OGÓLNIE ROZPOWSZECHNIONA OPINIA o rozkwicie polskiej twórczości dramatycznej z okresu okupacji nie została, jak dotychczas, potwierdzona konkretnymi publikacjami utworów. Natomiast możemy zanotować dwie ciekawe pozycje doby pookupacyjnej, tkwiące jednak problemowo w stosunkach społecznych Polski dolipcowej, ba — sięgające zagadnień o aktualności do dzisiaj i może do jutra nie przedawnionej. Są nimi dwa dramaty wydane przez „Czytelnika" i „Książkę", mianowicie „Stary Dworek" Adama Ważyka i „Wiosna 1944" Flory Bieńkowskiej. W chwili gdy brak repertuaru jest w naszej gospodarce teatralnej sprawą doraźnie palącą i gdy tym tłumaczy się społeczny impas teatru, należy wyrazić życzenie, by oba dramaty znalazły się jak najszybciej na deskach scen polskich. Ze szczególnym uznaniem witamy „Wiosnę 1944", która kulturalnym i klasycznie relistycznym ujęciem problematyki historyczno - społecznej zapowiada w Bieńkowskiej dramaturga przyszłości. Może silniej przemówiłoby do widza bardziej wyczerpujące uplastycznienie tych faktów, których bezpośrednio w dramacie nie oglądamy, ale tylko pośrednio o nich się dowiadujemy. „Stary Dworek" Ważyka nie zdobył się za to na tak czysty gatunek klasycznego realizmu i popada jeszcze w mniej przekonywujące perypetie psychologiczne. —bj—

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. J. H. w Łodzi: Dziękujemy za pamięć. Drukujemy na razie „Elegię".

P. Wł. Sł. w Łodzi. Z uprzejmie nadesłanych nam wierszy zamieścimy w najbliższym numerze „Pod zachód". Zatrzymujemy w tece utwory: „Uzbek z kogutami", „Kołysanka uzbecka", „Verhaeren" i „Do poety'. Z przekładów — Bunina i Lermontowa.

P. J. W. w Zduńskiej Woli. Dziękujemy za miłe wyrazy. Z nadesłanych wierszy najlepsza „Miłość księżycowa" i „Wiersz o nas", ale pierwszy utwór psuje niewytrzymany obraz nocy w ostatniej tercynie (skąd ten „strumień szkarłatu" przy „księżycu w orszaku gwiazd"?), a drugi sztuczne naginanie akcentu w zestawieniu „O nas" (przycisk spoczywa na przyimku O) dla zrymowania z „czasem". Prosimy o nas nie zapominać.

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

P. A. Br. w Łodzi. Może zamieścimy „Na gościnie".

P. B. Biał. w Lublinie. Nie skorzystamy.

P. St. Gr. w Łodzi. Dziękujemy. Zainteresowała nas Pańska proza.

P. Z. Roz w Warszawie. Dziękujemy za miłe słowa. Z łaskawie nadesłanych utworów nie skorzystamy.

PISMA I KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

„Twórczość" N 3

„Tygodnik Powszechny" N 34—37

„Arkona" N 1

„Wieś" N 16, 17

„Tygodnik Demokratyczny" N 25

„Zdrój" N 3—7

„Pobudka" N 7—11

„Wici" N 30

„Przewodnik Świetlicowy" N 9—15

„Świetlica Krakowska" N 18

„Terror niemiecki w Zamojszczyźnie 1939—45". Zamość 1945

Stefan Żeromski „Doktór Piotr" wyd. „Czytelnik" 1945

Józef Giebułtowicz „Odpowiedzialność przestępców wojennych w świetle prawa narodów" wyd. „Czytelnik" 1945

Henryk Sienkiewicz „Krzyżacy" wyd. „Czytelnik" 1945

„Pożegnanie z Hitlerem" Biblioteka Szpilek N 1 wyd. „Czytelnik" 1945

K. Macułżyński „Od atomu do bomby" wyd. „Czytelnik" 1945

Jerzy Lau „w płomienia" Kraków wyd. „Czytelnik" 1940

Jan Huszcza „Pamiętnik liryczny" Zw Zaw. Lit. Pol. Lublin 1945

Roman Sadowski „Życie — naprzeciw" z zasiłku Res. Kult. i Szt. m. stoł. Warszawy, Warszawa 1945

Zbigniew Bieńkowswki „Sprawa wyobraźni" Związku Zawod. Lit. Pol. Kraków 1945

Andrzej Nowicki „Podróż do Świętej Ziemi" wyd. „Czytelnik" 1945

Witold Zechenter „Strzępy okupacji" Księg. S. A. Krzyżanowski Kraków 1945

Leon Pasternak „Lata powrotu" Spółdz. Wyd. „Książka" 1945

Wszystkim sympatykom „Kameny", którzy z okazji wznowienia pisma przesłali nam życzenia, składamy serdeczne podziękowanie.

Drukarnia Nr. 1
SPÓŁDZ. WYDAW.
„CZYTELNIK"
Lublin,
ul. Zamojska 24.
Karta zam. A. 5541